GAZETA LITERACKA

DODATEK MIESIĘCZNY GAZETY NIEDZIELNEJ

NR 3 LONDYN, 29 PAŹDZIERNIKA 1950 ROK I

ODWIECZNOŚĆ SZTUKI

W JEDNEJ z najlepszych książek „The Everlasting Man" G. K. Chesterton zwalcza pogląd jakoby człowiek pierwotny był dzikusem i barbarzyńcą, niewiele jeszcze różniącym się od zwierząt. Na poparcie swego stanowiska przytacza fakt malowideł na ścianach jaskiń, które zamieszkałe były przez ludzi paleolitycznych, już kilkanaście czy nawet dwadzieścia tysięcy lat temu. Szereg takich malowideł o wysokiej wartości artystycznej odkryto w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat w pasie, ciągnącym się po obu stronach Pirenejów tj. w północnej Hiszpanii i południowej Francji. Nie ulega chyba wątpliwości, że sztuka jest jednym z głównych znamion człowieczeństwa— argumentuje Chesterton. Żadnych jej śladów nie znaleziono nawet wśród najwyżej rozwiniętych gatunków zwierzęcych. Ów przysłowiowy ‚cave-man' nie był więc wcale takim barbarzyńcą, jak zwykło się mniemać. Człowiek jest istotą znacznie bardziej „odwieczną" (everlasting), niż by to mogło się wydawać poniektórym ‚ewolucjonistom'.

Pisząc to Chesterton wiedział oczywiście o wielkich malowidłach, jakie odkryto w roku 1880 w jednej z grot w pobliżu Altamira, w północno - wschodniej Hiszpanii. Wiedział też o szeregu mniejszych, lecz bardzo interesujących odkryć, jakich dokonano m. in. w Pair non Pair i w La Mouthe we Francji południowo - zachodniej. Nie mógł natomiast jeszcze wiedzieć o wspaniałych malowidłach, na jakie natrafiono w pobliżu miasteczka Montignac w departamencie Dordogne.

Odkrycie to zrobiono w czasie Drugiej Wojny Światowej, we wrześniu 1940 r.; jak często bywa w takich wypadkach, dokonane ono zostało zupełnie przypadkowo. Czterech wiejskich chłopaków polowało na króliki, w czym pomagał im pies o bardzo nowoczesnym imieniu: Robot. Nagle Robot wpadł w jakąś niedużą dziurę. Chłopcy poszerzyli scyzorykami ten otwór i weszli do środka; ześlizgnąwszy się po gliniastej pochyłości znaleźli się niespodziewanie w wielkiej jaskini, której ściany pokryte były malowidłami, przedstawiającymi różne zwierzęta. O odkryciu tym chłopcy powiedzieli nauczycielowi, który, obejrzawszy jaskinię, ocenił odrazu ważność tego znaleziska i zawiadomił o nim znanego archeologa francuskiego księdza Brenil, specjalistę od badań sztuki paleolitycznej.

W ten sposób rzecz dostała się do wiadomości publicznej — i od razu, mimo wojny, rozgorzała na ten temat żywa dyskusja. Z różnych stron zakwestionowana została autentyczność odkrytych malowideł; wysunięto podejrzenia, że jest to zręczne fałszerstwo, dokonane przez jakichś artystów, imitujących sztukę paleolityczną. W dyskusji tej całkowite zwycięstwo przypadło jednak uczonym, opowiadającym się za autentycznością malowideł. Argumenty na rzecz tej tezy zestawił niedawno w audycji radiowej archeolog brytyjski, Glyn Daniel.

Najpierw więc, na rzecz autentyczności malowideł przemawia fakt, że w tych samych jaskiniach znaleziono inne okazy sztuki paleolitycznej: zdobione kości, kamienie pokryte rytowanymi obrazkami, drobne przedmioty rzeźbione. Wszystkie te rzeczy wykryto, dokonując głębokich grzebań w dnach jaskiń. Odkryć takich dokonano także w Lascaux. Wykopane przedmioty są pod względem stylu identyczne z malowidłami ściennymi. Ich pochodzenie z okresu paleolitycznego nie może ulegać wątpliwości, znaleziono je bowiem w pokładach, datujących się z tego okresu. Trudno sobie wyobrazić, by jacyś fałszerze potrafili je nie tylko wykonać, ale następnie jeszcze umieścić tak głęboko. Jeśli jednak uznamy ten argument za niewystarczający — zauważa Glyn Daniel —, to na rzecz autentyczności malowideł przemówią fakty dużo jeszcze ważniejsze. Jeśli więc chodzi o jaskinie dawniej już odkryte, to w niektórych z nich malowidła były w całości lub w części pokryte stalaktytami. Wedle opinii uczonych upłynąć musi conajmniej sto lat, zanim taka warstwa stalaktytów zdoła się sformować. Sto lat temu nikomu nie śniło się nawet o istnieniu malowideł paleolitycznych, tym bardziej więc o ich podrabianiu.

W Lascaux stalaktytów nie ma, jest za to co innego. Malowidła tamtejsze pokrywają nie samą gołą ścianę skalną, ale krystaliczną powierzchnię, która ścianę tę pokryła w wyniku wieloletniego sączenia się pewnych składników mineralnych ze skały. W biegu lat, zapewne także pod wpływem silnych mrozów, duże kawałki tej krystalicznej powierzchni, pokryte fragmentami malowideł, odprysnęły od skał i spadły na dół jaskini. Stało się to już w czasie, kiedy ściany i powała jaskini przestały już sączyć ową krystalizującą się wydzielinę, co spowodowane zostało zmianami natury geologicznej. Malowidła powstały jeszcze przed tymi zmianami — to też w żadnym wypadku nie mogą to być jakieś nowoczesne falsyfikaty.

Malowidła w głównej komorze w Lascaux mają około 7 metrów długości. Przedstawiają one grupy różnych zwierząt: kozłów skalnych, wołów, krów i koni. Obok zwierząt widnieje często coś w rodzaju płotów. Malowidła wyryte są w kamieniu; utrzymane są w kolorze czarnym i czerwonym. Uderzają niesłychaną świeżością, co zapewne jest w wielkim stopniu wynikiem tego, że wykonano je na wspomnianej już wyżej powierzchni krystalicznej, a nie na gołej, kruszącej się skale.

Przyjmuje się, że artyści, którzy je wyryli i wymalowali, pochodzili z ludu późno - paleolitycznego, żyjącego z myślistwa. Jaskinie z malowidłami były prawdopodobnie miejscem zgromadzeń rytualnych tego ludu. Wiek malowideł oceniany jest na 20 tysięcy lat, lub może nawet więcej. Przetrwały one w ukryciu cały długi okres od końca epoki lodowej aż po nasze czasy.

Są one świadectwem, że obecne pogranicze hiszpańsko - francuskie stanowiło ognisko jednej z najstarszych kultur ludzkich. Jak dotąd, malowideł z okresu paleolitycznego nie znaleziono w żadnej innej części świata, ani też w Europie północnej, środkowej czy wschodniej.

bp.



Z teki
ZYGMUNTA TURKIEWICZA



ELŻBIETA KRZYSKA

(4)

PAMIĘTNIK MATKI

Najważniejszym zagadnieniem życiowym poza wyżywieniem była praca. Mowię poza wyżywieniem, bo przymusowa praca tamtejsza nie dawała i nie mogła nikomu dać zarobku, który by umożliwił choć względne zapełnienie żołądka. Najpierwsi nawet „stachanowcy" bez pomocy z Polski przymierali głodem, a w dodatku usiłowanie wyrobienia normy za wszelką cenę wycieńczyło ich organizmy do tego stopnia, że opuszczali Koresteljewkę zżarci szkorbutem jako szkielety i i ruiny ludzkie. Praca obowiązywała wszystkich mężczyzn i samotne kobiety; wolne były początkowo matki, posiadające małe dzieci.

Mężczyzn zabrano odrazu do lasu. Zadaniem ich było karczowanie lasu, a więc ścinanie drzew, piłowanie, rąbanie i ustawianie w sągi. Zimą przybyli z daleka kołchoźnicy i drzewo to zwozili nad rzekę, skąd po wezbraniu wody spławiało się je z jej biegiem do fabryki węgla drzewnego w Wilwie.

Spław drzewa to było najdonioślejsze wydarzenie w roku, ukoronowanie całorocznej pracy. O mającym nastąpić spławie mówiło się przez całą zimę z przejęciem i drżeniem, a przygody w czasie spławu wspominało się przez długie miesiące. Spław następował w ciągu miesiąca maja, w momencie roztopów i ruszenia lodów na rzekach. Rzeczą tubylczych majstrów było oznaczyć dnie najwyższego stanu i siły wody, która jedynie w tej chwili zdolna była zanieść niezliczone polana drzewne do miejsca przeznaczenia. Na spław stawiali się wszyscy robotnicy oraz ochotniczo ci, którzy zasadniczo do pracy nie chodzili, przybywały przytem liczne rzesze pracowników z okolicznych osad i wiosek, w niższym biegu rzeki położonych, gdzie spław kolejny kilka dni później się odbywał. Setki robotników mężczyzn i kobiet ustawiało się na niekończących się liniach sągów drzewnych, przygotowanych przez kołchoźników nad rzeką w czasie zimy. Każdy miał przez brygadiera wyznaczoną, odmierzoną ilość metrów sześciennych drzewa, które rękami zsuwał na wodę. W pierwszej linii zadanie to było stosunkowo łatwe, ale groźne z biegiem wzburzonych fal. Nie było roku bez wypadków lodowatej kąpieli, a nawet śmierci. Z drugiej i trzeciej linii natomiast należało z dużym nieraz wysiłkiem i na sporą odległość przerzucać ciężkie polana. Specjalna ekipa młodych i zdrowych mężczyzn towarzyszyła drzewu wzdłuż rzeki, brnąc nieraz głęboko w lodowatej wodzie, żerdziami spychając zabłąkane w zaroślach polana i rozbijając zatory na zakrętach. W Wilwie specjalne urządzenia na rzecze zatrzymywały polana i wyrzucały na brzeg. By nie tracić czasu, ludzie w dnie spławowe otrzymywali pożywienie wyjątkowo obfite i pożywne na miejscu pracy, gotowane na ogniskach w dużych kotłach, oczywiście za opłatą. Spławowi asystowały i przyglądały się wszelkie władze osiedla. Wszyscy ci panowie już w południe pierwszego dnia byli całkowicie pijani, ich bowiem wyłącznie udziałem były okazałe skrzynie smakołyków, a przede wszystkim wódki, przysłanej na tę okazję dla Korosteljewki. Po skończonym spławie na miejscu robotnicy koresteljewscy udawali się kolejno do miejscowości, położonych w dolnym biegu Wilwy. Wysokość płac w czasie spławu zależna była od ilości zrzuconych metrów sześciennych, osiągnięte jednak pieniądze ani w części nie sięgały sum, obiecywanych przez majstrów.

Kobiety i wyrostki latem pracowali na sianokosach. Całe ekipy wychodziły do miejsc, kilkanaście kilometrów odległych i pozostawały tam aż do ukończenia roboty. Już w trzy dni po naszym przybyciu do Koresteljewki milicjant przymusowo zabrał na sianokosy obie nasze panienki. Biedaczki, przerażone, prawie bose, brnęły w deszczu i wietrze do o 20 km oddalonej miejscowości Pasiegi, w otoczeniu całkowicie im jeszcze nieznanej gromady młodych Żydów i Żydówek. Z rozpaczą zakwaterowały się w przedziwnej ziemiance, po której dachu najspokojniej chodziły kozy, będące własnością jedynej zamieszkałej tam rodziny tatarskiej. Jako pożywienie miały suchy kwaśny chleb i wodę. Po jakimś czasie jednak warunki uległy poprawie, a po powrocie nie było końca opowiadaniom i zachwytom nad cudownie położonym grzbietem Pasiegi, wśród dzikich skał, ale w zdrowym górskim powietrzu, bez nadrzecznej plagi komarów i bez stałych klątw i wymyślań ze strony władz osiedla i w jakiejś lepszej, swobodniejszej atmosferze, w lasach pełnych jagód i grzybów. Drugim miejscem sianokosów były Rosochy, w górnym biegu rzeki Wilwy, na nisko rozłożonych podmokłych łąkach przybrzeżnych. Praca polegała na koszeniu, grabieniu i ustawianiu siana w stogi, stale po kostki a nieraz po kolana w wodzie.

W jesieni uruchomiono w Koresteljewce cegielnię. Jej strona techniczna przypominała czasy króla Ćwieczka, fachowość robotnic pozostawiała wiele do życzenia, ale zato dzięki ich działalności otrzymaliśmy w domach naszych dobre mocne piece, tak bardzo potrzebne w okresie zimowym. Ciekawy był okres powstawania cegielni. Organizował ją jeden z naszych współtowarzyszy, inżynier F. Kłopot był wielki, skąd zdobyć gwoździe do zbijania dachu na szopie cegielnianej. Długie w tej sprawie szły narady, wreszcie zdecydowano się rozebrać dach na chlewie, by uzyskać gwoździe do zbudowania dachu na cegielni!

Dalszym warsztatem pracy był tartak, w którym kilku naszych silnych mężczyzn mozolnie pracowało, piłując ręcznie kolosalne bale na potrzebne w osiedlu deski. Mieli zato nieco wyższą płacę i częstsze i obfitsze przydziały żywności. Wiosną 41 roku nowy, trzeci z rzędu komendant rozwinął wielką inicjatywę budowlaną. Tartak pracował całą siłą, a świeżo kreowani domorośli cieśle wznosili „okazałe" gmachy „Czerwonego Kącika" i szkoły, które jednak niewykończone pustymi oknami patrzały w jesieni na nasz wymarsz z Koresteljewki.

Na czas zimy wszelkie prace w naszym posiołku ustały i kto żyw: kobiety i mężczyźni zagnani zostali do lasu. Strasznie było patrzeć w ciemne poranki (godzina 6 rano) i w ciemne wieczory (około g. 5 — 6 po poł.) na te sznury postaci nieledwie w łachmanach, z nogami okutanymi w szmaty i obutymi w łapcie z kory brzozowej, ośnieżone, z twarzami, przypominającymi dziecinnego św. Mikołaja, z grubymi warstwami szronu na brwiach i zaroście. Ustawowo obowiązywała praca do -40 C. Gdy temperatura bardziej spadała, zdejmowano termometr znad drzwi kantoru i ludzie także szli do pracy. Latem wygląd robotników przypominał raczej groźnych Beduinów. Plaga komarów i jeszcze gorszych małych czarnych muszek zmuszała do noszenia zawojów, ochraniających głowę i szyję. Przymus pracy stosowano z coraz bardziej wzmacnianym rygorem, który doszedł do zenitu w okresie po ogłoszeniu porozumienia polsko - sowieckiego, a przed ogłoszeniem amnestii w osiedlu. Ludzi goniono po lesie, szukano po domach, chorych wyciągano z łóżek, kontrolowano i zmieniano decyzje Izby Chorych. Ludzie nie byli pewni dnia ani godziny. Areszt stale zaludniony był opornymi, a co jakiś czas gromady oskarżonych o ‚progul' — niestawienie się lub opuszczenie pracy bez zezwolenia — gnano 30 km do Wilwy na sąd pracy. O ‚progul' oskarżano przeważnie bezpodstawnie i to najchętniej tych, na których komendantura z takich czy innych powodów nie była łaskawa.

Najwięcej kłopotu miała komendantura z trzema młodymi inteligentnymi chłopcami z Cieszyna. Goli byli jak święci tureccy — bez rzeczy zupełnie i bez żadnych pieniędzy — nie mieli nic do stracenia. Kategorycznie i nieustępliwie trwali przy swoich żądaniach: „Jak dacie chleba i ubranie, pójdziemy do lasu — w przeciwnym razie nie!" I postawili na swoim; nie pomogło zamykanie w pace na całe tygodnie o głodzie i chłodzie, bez wypuszczania nawet dla załatwienia koniecznych potrzeb hygienicznych. Chłopcy dopięli swego. Gdy zaczęto dawać im codzienną zupę i chleb, pracowali w lesie doskonale.

Początkiem 41 roku nowy komendant, rozejrzawszy się w naszej gromadzie, zaczął przejawiać swe sympatie i antypatie. Sympatii oczywiście było dużo: ci którzy donosili z urzędu, ci, którzy robili wszystko, by mu się przypodobać i łaski sobie zaskarbić i ci, którzy niczym nigdy się nie wyróżniali. Antypatie natomiast były wybitne i ciągle szukano sposobu, by im dokuczyć; nazwiska ich padały gęsto podczas przemówień na meetingach, zmniejszano im racje chleba pod byle pozorem, nie przyznawano suchego prowiantu, listy doręczano z opóźnieniem lub nie doręczano wcale, robiono trudności w doręczaniu nadeszłych paczek, wreszcie pędzono 30 km w trzaskającym mrozie na nieuzasadnione sądy o ‚progul'. Zdarzyło się pewnego razu, że grupka podsądnych, między którymi był również mój mąż, zrobiła taki spacer niepotrzebnie, bo sąd się nie zebrał. W tydzień potem poszli drugi raz — sąd zebrał się o 12 w nocy. (Wszystkie ważne sprawy w Rosji odbywają się w nocy!). Mój mąż powrócił nazajutrz z silnie odmrożonymi nogami, ale zato zwolniony przez sąd od winy i kary. W razie zasądzenia o ‚progul' stosowano kary pieniężne, strącając od 25 — 75 % zarobków przez szereg miesięcy, a w wypadkach specjalnie poważnych karano aresztem i więzieniem. W wypadku więzienia były to już raczej czyny, kwalifikowane jako sabotaż pracy; sprawa wtedy bywała bardzo groźna.

Mój mąż był dla komendanta tym, czym jest czerwona płachta dla byka. Komendant nie mógł znieść jego wyglądu; gniewało go zarówno to, że myje się co dnia, a goli co drugi dzień, że chodzi w wyczyszczonym i wyreperowanym, choć zniszczonym ubraniu, że pali fajkę i ma minę, jakby gwizdał na cały świat, a że przy tym nic mu nie może zarzucić. Szukał też wszelkich sposobów dokuczenia nam. Nie udało się z ‚progułem', znalazł się inny sposób. W końcu marca zawezwana zostałam na komendanturę i oświadczono mi, że mam udać się do lasu na robotę, motywując to tym, że Władka jest chora i może zająć się domem i dziećmi. Żądanie było kategoryczne i powtórzone zostało przez komendanta memu mężowi. Długo zastanawialiśmy się nad decyzją, wiedząc, że żądanie jest niesłuszne i żadnym prawem nie usprawiedliwione, ciężko przytem było rozstawać się z dziećmi, przerywać lekcje z dziewczynkami i codzienne urocze pogawędki i pieszczoty z synkiem. Rozważywszy jednak sytuację wszechstronnie, nie mówiąc nic nikomu, postanowiłam pójść. Właśnie tydzień przedtem dostałam pierwszą i jedyną paczkę odzieżową z Warszawy, zawierającą znakomite narciarskie spodnie, ubrałam się jak cebula i w drogę. Towarzysze niedoli z współczuciem patrzyli na matkę trojga dzieci gnaną do pracy, inne matki truchlały, czekając swojej kolejki. A ja —uzbroiłam się w cały zapas wyrobienia i opanowania, by zachować równowagę umysłu i spokój w twarzy. Droga zimowa do lasu wynosiła około 5 km i nie była uciążliwa, bo prawie cały czas szło się zamarzniętym korytem dopływu Wilwy, rzeczki Koresteljewki, spokojnie i równo jak po stole. A potem w las —ten wspaniały uralski dziewiczy las, pełen dumnych ogromnych jodeł i świerków, na których tle leciutką koronką rysowały się sylwetki brzóz — las pokryty śniegiem, cichy jakby zastygły.

W czasie odpoczynków południowych wsłuchiwałam się w tę szumiącą ciszę lasu, zachwycałam się stadami kolorowych małych ptaszków nazywanych ‚krestami' — krzyżami lub pięknymi okazami dzięciołów. Czasami przychodził majster Winogradow i ciekawie opowiadał o żyjących gdzieś w ostępach leśnych niedźwiedziach i łosiach. Przemiłe były te wypoczynki południowe; pracowaliśmy we czwórkę z mężem i dwoma inteligentnymi, młodymi Żydami. W południe gromadziliśmy się przy ognisku w głębokiej jamie w śniegu i przypiekając na patykach chleb, prowadziliśmy długie dysputy na całkiem nieuralskie tematy. Brał w nich nieraz udział i pan A. z Krakowa, człowiek około 50 lat, którego szlachetna sylwetka i siwa, bujna czupryna imponowała wszystkim, gdy codziennie, bez wypoczynku w drodze udawał się na pracę do lasu.

(Ciąg dalszy nastąpi)

ALEKSANDRA STYPUŁKOWSKA

LITERATURA DLA MAS

Czy istnieje pojęcie „sztuki dla mas?" Jeśli rozumiemy przez nie upowszechnienie dostępu do dzieł sztuki wraz z równoczesnym podniesieniem poziomu intelektualnego szerokich warstw, tak aby sztuka stała się dla nich zrozumiała — żadna wątpliwość w nas nie powstaje. Inaczej, gdy pod tym pojęciem czy hasłem chcemy widzieć walkę z zawiłością formy, rzekomo niedostępnej przeciętnemu odbiorcy lub narzucenie tematyki odpowiadającej jakoby aktualnemu układowi sił społecznych.

Zagadnienie to stało się dziś bardziej aktualne, niż kiedykolwiek w związku z kampanią, prowadzoną przez twórców t.zw. nowej kultury po tamtej stronie żelaznej kurtyny.

Spróbujmy zanalizować je pod kątem widzenia literatury. To co zwykliśmy nazywać „literaturą dla mas" jest w rzeczywistości piśmiennictwem, błąkającym się jedynie gdzieś na peryferiach sztuki. Posiada ono trzy zasadnicze elementy: element sensacji, dreszczu, emocji, wytrącającej z szarzyzny codzienności, łatwą erotykę z pożądanym „happy-endem" oraz baśniowość z dekoracją możliwie odległą od naszej własnej rzeczywistości. Jesteśmy dziś świadkami zalewu rynków przez to bezwartościowe piśmiennictwo. Nie da się zaprzeczyć, że człowiek posiada prawo do tego, co Anglicy nazywają: „leisure time". Sensacyjny odcinek powieściowy na równi z filmem o „dzikim Zachodzie" czy meczem piłkarskim zaspakajają tę potrzebę.

Rzecz jedynie w tym, żeby ta „literatura", skoro nie jest sztuką sensu stricto, wolną od kontroli, nie grała na niskich instynktach mas. Jest to oczywiście sprawa trudna i drażliwa, gdyż przeprowadzenie ścisłej granicy między literaturą a piśmiennictwem rozrywkowym przeprowadzić się nie da. Żadne obiektywne kryterium tu nie istnieje, bo pojęcie piękna jest sprawą nawskroś indywidualną. Jeśli mówimy, że te utwory nie mieszczą się w zasadzie w pojęciu sztuki, mamy tu przede wszystkim na myśli fakt, że pisane są w celu dostarczenia odbiorcy pewnej rozrywki. Cokolwiek pisane jest dla z góry upatrzonego celu — choćby był on najwznioślejszy — jest nie do pogodzenia z pojęciem sztuki. Twórczość bowiem jest emanacją osobowości, ujawniającą się samorzutnie pod wpływem bodźca wewnętrznego. Jeśli natomiast piszący podkłada niejako swoje myśli pod z góry powzięty cel — czy nim będzie chęć zaspokojenia przyjemności czytelnika, czy idea walki klas — przestaje być twórcą.

Rozważania te zbliżają nas do pojęcia sztuki dla mas tak, jak je rozumie „kulturalny politruk". „Nowa kultura" bolszewicka potępia zarówno literaturę sensacyjną i „romansową", jak i t.zw. formalizm i niezrozumialstwo. Pierwsza teza jest dla nas bezprzedmiotowa, skoro doszliśmy do wniosku, że „trillersy" nie są literaturą. Zaznaczyliśmy już wyżej, że pipiśmiennictwo to winno w pewnym stopniu podlegać kontroli. Pozostaje kwestią otwartą, czy należy dążyć do jego likwidacji, czy przyjść do wniosku, że spełnia ono jakieś inne zadanie mające mało wspólnego z dążeniem człowieka do piękna. Wydaje się, że przez podniesienie kulturalne mas, nastąpi podniesienie smaku estetycznego, co będzie miało również wpływ na pojęcie rozrywki. Analiza przyczyn, dla których piśmiennictwo brukowe ciąży nad rynkiem księgarskim, zaprowadziła by nas zbyt daleko. Jedno jest pewne, że przyczyniła się do tego atmosfera brutalizmu, upadku obyczajów i odstępstw od kryteriów moralnych, towarzysząca dwu przebytym i trzeciej nadciągającej wojnie.

Jak się należy ustosunkować do drugiej tezy „kultury" bolszewickiej, tj. do walki z niezrozumialstwem? Istnieje i istniała zawsze sztuka łatwa i trudna. Trudne jest naogół wszystko nowe, co dopiero z czasem umysł ludzki zdoła sobie przyswoić. Tak np. „trudny" był w malarstwie impresjonizm, który jest dziś dla każdego z nas całkowicie przystępny. Trudny był przeskok do wolnego wiersza, który panuje dziś w poezji wszechwładnie. Jeżeli położymy tamę sztuce trudnej — położymy tamę sztuce w ogóle. Norwid powinien był od komunistycznych znawców otrzymać miano niezrozumialca. Jego rozszyfrowanie i przyswojenie wymagało wieku nieomal. Poezja Norwida nie jest „poezją mas", jak wiersze Lenartowicza czy Tetmajera. Można dyskutować sprawę przerostu formy w prozie czy poezji, ale nie wolno odmawiać pisarzowi prawa do przyjęcia takiej formy, która odpowiada jego twórczej potrzebie. To jest właśnie owa pogardzana przez komunistów autonomia praw sztuki. Każde odstępstwo od niej prowadzi do dyktatu propagandy.

Doktrynerzy komunistyczni powołują się chętnie na twierdzenie Lenina, iż „należy zapewnić szeroki rozmach inicjatywie osobistej, indywidualnym skłonnościom myśli, fantazji, formie i treści", ale dodają, że swoboda poruszania się twórcy ograniczona jest niezmiennością praw dialektycznych. Że zatem w epoce rewolucji proletariatu zarówno treść jak i forma w sztuce muszą służyć wyłącznie celom tej rewolucji. Jak się to wyraża w praktyce? Nawoływanie do prostoty formy osiągnęło jedynie ten skutek, że otrzymaliśmy prostacką łatwiznę. Nie trudno o cytat. Niejaki W. Woroszylski, poeta „Polski Ludowej" tak formułuje swoje credo:

„Jam facet prosty,
Piszę dla takich, jak ja.
O subtelniaków apolitycznych
nie dbam..."

Nie ma chyba wątpliwości. Taki „poemat" nie jest poezją. Ani co do formy ani treści. Ani dla wybranych ani dla mas. Te masy wcale nie składają się z „prostych facetów". Znają smak prawdziwej poezji, wspinają się ku niej nieraz po trudnej i wyboistej drodze. W tej wspinaczce sięgają nieraz szczytów, niedosiężnych nawet wybranym. Na zniżanie się ku nim odpowiedzą pogardą.

Drugim obok przystępności formy drogowskazem, którego pisarzowi wyminąć nie wolno jest tematyka. Określa się to jako „zamówienie społeczne", parcie na twórcę od dołu, które ma przetworzyć jego osobowość, stopić go ze społeczeństwem we wspólnym dążeniu do realizacji komunistycznego raju. Ponieważ w chwili obecnej cały wysiłek mas ma być skupiony na podniesieniu wytwórczości — przeto jedynym tematem dozwolonym (!) twórcy jest tematyka pracy i osiągnięć wytwórczych. Wyjątek czyni się bodaj tylko dla tych, którzy swe zdolności pisarskie zużywają na paszkwile lub bałwochwalstwo. Przykłady? Ależ możemy mieć ich w literaturze sowieckiej ostatnich 2 lat bez liku: „Daleko od Moskwy" Ażajewa o budowie rurociągu naftowego, „Stal i żużle" Popowa o produkcji Zagłębia Donieckiego, szkice Safonowa „Ziemia w kwieciu" o osiągnięciach sowieckich rolników, stosujących zdobycze teorji Miczurina i Łysienki, „Zorza" Łaptiewa o życiu kołchozów — żeby tylko wymienić najbardziej reklamowane.

Niestety na te same tory wkracza już dziś piśmiennictwo w Polsce. Weźmy na przykład wydaną niedawno powieść M. Kowalewskiego „Kampania znaczy walka". Konia z rzędem temu, kto potrafi określić różnicę między ową powieścią a popularnym wykładem z dziedziny produkcji cukrowniczej! W całej tej pseudo-literaturze problem człowieka, jego uczuć rodzinnych, miłosnych, a nade wszystko patriotycznych nie istnieje. Otrzymujemy stąd jako bohaterów nie ludzi, lecz makiety. Czarne albo białe. Pośrednich kolorów nie ma. Z „czarnymi" pisarz ma również kłopot. Autor, który ośmiela się skreślić ujemny typ swego rodaka, naraża się na zarzut defetyzmu. Nie lzia! Państwo budującego się socjalizmu zamieszkują sami pozytywni bohaterzy. Pozostali — to płatni agenci lub szpiedzy. Chlubą kierunku realizmu socjalistycznego jest optymizm. Byczo jest — a raj tuż u progu! „Happy-end" warunkiem koniecznym. Bohater-figurka drewniana czarna albo biała, „happy-end"... ależ my to znamy!! Czyż tak samo nie pisała ku uciesze gawiedzi Zarzycka?

I dlatego właśnie te wyczyny nie są literaturą. Ale czy są „literaturą dla mas"? Kopalnia może być **także** tematem w literaturze, ale na tym tle musi żyć i działać człowiek. Człowiek w całej swej pełni, z cnotami i grzechami, namiętnościami i wzlotami. O kopalni pisał Zola i Cronin. Odbiorca jednak sięga po ich książki nie dlatego, że mu odpowiadają tłem czy tematyką, ale dlatego, że odnajdywał w nich wielką ludzką prawdę. Masa składa się z ludzi, nie z robotów. W literaturze szuka przede wszystkim człowieka. Rekordy wytwórczości znajdzie w tabelach statystycznych. Jeśli jest pionierem pracy, zasłucha się może w głos propagandy. Ale sztuki z propagandą nie pomiesza.

Może się jednak mylimy. Może tam, za kurtyną sfera ludzkich uczuć uległa zmianie? Może człowiek przestał kochać lub nienawidzieć drugiego człowieka? Grzeszyć lub dobrze innemu czynić? Może jak w soczewce wszystkie uczucia ludzkie stopiły się w jednej obcej nam idei? Może w gorącym pocie zbiorowego wysiłku nastąpiło odpersonifikowanie człowieka?

Jeśli by tak było, to istotnie literatura „realizmu socjalistycznego" zaspokoiłaby potrzeby mas.

Tak jednak nie jest. W wielkich epokach naszej literatury wszechogarniająca idea wyzwolenia i walki nie zdołała stłumić w człowieku nurtu osobistego, który biegł własnym łożyskiem. Wielcy romantycy, pozytywiści i pisarze Młodej Polski dają świadectwo prawdzie o duszy ludzkiej skazanej na samotność własnego przeżycia mimo sprzęgnięcia w łańcuch wspólnej idei. A twórca dzisiejszy? Jeden świadomie, inny nieświadomie wymykać się będzie zawsze w swój wewnętrzny świat, który jest najpotężniejszym łącznikiem z odbiorcą. Pewien malarz z za żelaznej kurtyny zapytywany, jak sobie radzi z narzuconą mu tematyką odpowiedział: „Ach, maluję to co pragnę, a potem przez środek kreślę fabryczny komin..." Adolf Rudnicki, czołowy pisarz komunistyczny, który woła o „książki-czyny", o „nowego bohatera" — nagle w jednym ze swych essay'ów nazywa pisarza „samotnikiem, który musi broczyć w swej samotni, aby krew była krwią" Lapsus? Nie, prawda wewnętrzna, która przerwała twardy naskórek doktryny.

Ów własny nurt jest nieodzownym atrybutem prawdziwej sztuki. Jeśli pisarz wszystkie osobiste uczucia sprowadzi do roli czystych funkcyj, utraci odbiorcę. Taka „literatura", nie tylko pozbawiona Boga, ale odczłowieczona będzie może miała czytelników — bo w państwie komunistycznym czytelnictwo jest także funkcją — ale nie pozostawi w historii mas szlaku Anhellich i Judymów.

Aleksandra Stypułkowska

RADOSTOWA

BELA BARTOK

Dnia 26 września minęło pięć lat, gdy w Nowym Jorku zmarł wielki węgierski kompozytor Bela Bartok. Jak się to przeważnie zdarza, geniusz kompozytora czy innego artysty „odkrywa się" dopiero po jego śmierci. Tak też było z Bartokiem. Nie chciałbym jednak, by ktoś z czytających te słowa pomyślał, iż ten kompozytor był za swego życia nieznanym. Był on jedynie za mało znanym. Jeszcze obecnie jego nazwisko nie jest znane szerszym kołom miłośników muzyki.

Bela Bartok urodził się 25 marca 1881 roku, na Węgrzech, w miejscowości Nagy Szent Miklos leżącej blisko granicy jugosłowiańskiej. Jego matka była nauczycielką w szkole powszechnej i ona właśnie nauczyła swego syna gry na pianinie. Umarła, gdy miał lat osiem. Ojciec Beli był dyrektorem szkoły rolniczej. Po śmierci matki ojciec z synem przeniósł się do Bratysławy. Studiował następnie we Wiedniu, wspólnie ze starszym od siebie innym kompozytorem węgierskim Ernestem Dohnányi, z którym także później uczęszczał do konserwatorium budapeszteńskiego. W tej uczelni, tzn. w Budapeszcie, poznał Zoltána Kodály, także kompozytora i odtąd swego najlepszego przyjaciela.

W roku 1904 został po raz pierwszy odegrany na publicznym koncercie utwór Beli Bartoka — symfonia poświęcona pamięci Kossuth'a. Koncert miał miejsce w Manchesterze a orkiestra grała pod batutą Hansa Richtera. W roku 1907 konserwatorium w Budapeszcie zaprosiło Bartoka na profesora gry na pianinie, jednak wkrótce opuścił to stanowisko, ponieważ wzbudził u swych przełożonych zastrzeżenia swą metodą nauczania, będąc więcej kompozytorem, niż nauczycielem.

Muzyka Bartoka jest trudna i aby ją zrozumieć należy wiedzieć o co kompozytorowi chodziło i na czym się opierał w budowie swych utworów.

Według jego tezy jedynie muzyka wiejska zachowała swą czystość i jako muzyka jest najbardziej prawdziwą. Zastrzegł przy tym, że nie chodzi mu o muzykę cygańską, gdyż ta pod różnymi wpływami, miasta, operetek i mody ówcześnie na nią panującej zatraciła swą prawdziwość i stała się w dużej mierze sztuczną. Wychodząc z założenia, że jedynie muzyka wieśniacza pozostała nienaruszoną, gdyż zachowała prawie w zupełności swą pierwotną koncepcję, należy się na niej opierać, gdy się komponuje. Dlatego też cała twórczość Beli Bartoka przebija podłożem muzyki ludowej. Jest ciekawym, iż Bartok, aby pomóc sobie w wyszukiwaniu jak najczystszych form muzycznych, jeździł po Słowacji, Rumunii i Węgrzech, zbierając melodie i pieśni ludowe — uzbierał ich ponad sześć tysięcy.

Profesor Haraszti podzielił twórczość Bartoka na trzy okresy. Pierwszy, gdy kompozytor tworzył w duchu Liszta. Drugi, w czasie którego Bartok szukał swego natchnienia w prymitywnej muzyce azjatyckiej oraz trzeci, gdy Bartok „przypomniał" sobie Bacha. W tym ostatnim okresie szuka on nowych dróg — pisze Haraszti — w czystej abstrakcji, w której dochodzi do szczytu.

Jednak zawsze Bartok pamięta o pieśni ludowej węgierskiej, z której wziął swoje natchnienie.

Twórczość Bartoka jest bardzo bogata i wszechstronna. Napisał operę „Zamek Sinobrodego", pieśni solowe i chóralne, dwie pantomimy, muzykę na fortepian oraz muzykę symfoniczną. Jego „Koncert na orkiestrę" zdobył już sobie zasłużone obywatelstwo wszystkich znakomitych orkiestr na świecie. Bartok napisał także sześć kwartetów smyczkowych, które są perłami muzyki współczesnej.

Bela Bartok umarł na emigracji i obecnie jego utwory są także grane na Węgrzech.

(Dokończenie na str. 6)

TOMASZ DOBROWOLSKI

BIAŁY KWIAT MIŁOŚCI

„Duch Prawdy" — mówi o Św. Teresie od Dzieciątka Jezus Ojciec św. Pius XII — „nauczył ją tego, co skrywa zwykle przed mędrcami i objawia maluczkim. W istocie Bóg wzbogacił ją wyjątkową mądrością, dzięki której była w stanie ukazać innym pewną drogę zbawienia".

Krótkie, licząc ziemską miarą, było życie św. Teresy od Dzieciątka Jezus. Urodzona 2 stycznia 1873 roku w Alençon we Francji Maria Franciszka Teresa Martin umiera w klasztarze Karmelitanek w Lisieux 30 września 1897 r. Żyła więc tylko 24 lata. Z tego ostatnie 9 lat w surowej regule klasztornej.

Z ośmiorga jej rodzeństwa czworo umarło we wczesnym dzieciństwie. Pozostałe pięć sióstr, wśród nich Teresa, znalazło wypełnienie swojej drogi życiowej za murami klasztoru.

Dwadzieścia cztery lata... Krótkie życie, ale jakże owocne! Niecałe dwadzieścia siedem lat później, 17 maja 1923 roku, Siostra Teresa od Dzieciątka Jezus zostaje zaliczona w poczet świętych. Dwadzieścia siedem lat, w czasie których nieustające łaski spływały na tych wszystkich, którzy szukali jej wstawiennictwa w niebie.

„Po mojej śmierci ześlę deszcz róż na ziemię" mówiła do sióstr w klasztorze w Lisieux. A kiedy indziej: „Dawałam Bogu zawsze tylko miłość i miłością On mi odpłaci". „Czuję, że moja misja zacznie się wkrótce — uczyć innych kochać Boga, jak ja Go kocham... uczyć dusze mojej małej drogi... Będę spędzać mój czas w niebie, czyniąc dobrze na ziemi".

Jej mała droga zbawienia... O tej drodze dla każdego, jak byśmy dziś powiedzieli — „dla szarego człowieka", — mówiła Święta stale. O drodze duchowego dziecięctwa, drodze ufności bezgranicznej, drodze prostoty.

„Na czym polega ta „mała droga", której będziesz uczyć?" — zapytała ją jej rodzona siostra Paulina, w klasztorze Matka Agnieszka od Jezusa.

„Jest to droga duchowego dziecięctwa" — brzmiała odpowiedź Teresy — „Droga ufności i całkowitego oddania się. Chcę wskazać duszom te środki, które ukazywały się zawsze dla mnie tak owocnymi. Powiedzieć im, że potrzeba tu na ziemi tylko jednego — ofiarować Naszemu Panu kwiaty małych poświęceń".

„Gdybym was wprowadzała w błąd moją małą drogą miłości" — mówiła nowicjuszkom w klasztorze, których była mistrzynią — „nie obawiajcie się, abym pozwoliła wam na pozostawanie w błędzie. Bardzo szybko powróciłabym na ziemię i powiedziała wam abyście sobie inną drogę obrały. Ale jeśli nie powrócę, wtedy wierzcie w prawdę tych słów: **Nigdy nie możemy mieć za wiele ufności w Bogu, który jest tak potężny i tak litościwy. Jaką nadzieję w Nim pokładamy, tak też od Niego otrzymamy"**.

A trzy miesiące przed śmiercią w liście wysłanym do jednego z księży misjonarzy tak pisze:

„Bracie, odkąd mi się stało dozwolonym zrozumieć miłość Serca Jezusowego, wszelka obawa odeszła z mojego serca. Pamięć moich błędów upokarza mnie i uczy nie polegać nigdy na własnej sile, która jest tylko słabością. To więcej, niż wszystko inne, mówi mi o wybaczeniu i miłości. Kiedy dusza z ufnością dziecka rzuca swoje błędy w palenisko wszystko — ogarniającej Miłości, jakżeż mogą one uniknąć spopielenia?".

„Wiem, że wielu świętych spędziło swe życie wśród niezwykłych umartwień, aby odpokutować za swoje grzechy. Lecz cóż z tego? „**W domu Mego Ojca jest wiele pomieszczenia**" — takie są słowa Jezusa. Przeto idę tą ścieżką, którą On dla mnie wyznaczył. Staram się zapomnieć zupełnie o sobie i pozostawić wyłącznie Jemu pracę, którą raczy dokonać w mojej duszy".

W istocie, nie ma niczego nowego w „małej drodze świętości". Siostry Teresy z Lisieux. Czyż Chrystus nie powiedział wyraźnie: „— **Jeśli nie staniecie się jako dzieci, nie wejdziecie do Królestwa Niebieskiego!"**. Ale ta cicha karmelitanka potrafiła te słowa należycie zrozumieć i wytłumaczyć nam.

Zostawiła po sobie spisaną własnoręcznie na polecenie przełożonych w klasztorze historię swego życia. Prócz tego i wspomnień jej towarzyszek zakonnych pozostały też po niej liczne listy i przepojone prostym a głębokim uczuciem jej poezje.

Lecz to jej nie wystarczyło. Jak zapowiedziała przed swą śmiercią powraca ciągle do nas na ziemię. I wśród deszczu łask materialnych i duchowych, spływających na nas za jej pośrednictwem, uczy nas swej najpewniejszej drogi ku szczęściu:

„Kochać Boga całym sercem, a wszystkich ludzi taką miłością, jaką On nas umiłował".

Tomasz Dobrowolski

Siostra Teresa od Dzieciątka Jezus

RÓŻA BEZ PŁATKÓW

Widzę Cię Jezu, dziecięciem — opuszczasz ramiona Matki
I nóżką niepewną stawiasz swe pierwsze kroki na świecie.

Chciałabym Ci pod stopy nasypać różanych płatków,
Aby twe nóżki dziecięce miękko stąpały po kwieciu.

Została róża bez płatków — róża, będąca obrazem
Serca, co pragnie gorąco nigdy ofiary nie skąpić.

Są róże, o Panie, które zdobią twoje ołtarze.
Ta róża dała swe płatki. I ja tak chciałam postąpić.

Róża w swoim rozkwicie ozdobą może być święta.
A ta różyczka bez płatków... Któż jeszcze o niej pamięta?

Na wiatr rzucona spełniła ofiarę z płatków i kona.
Jezuniu, Tobie z radością wszystko oddaję — jak ona.

Kiedy się stąpa po płatkach — kto wtedy żałuje róży?
Płatki są tylko ozdobą. Niczemu więcej nie służą.

Wyrzekłam się przed ludźmi życia, świata, przyszłości.
A teraz muszę umierać dla twojej Jezu, miłości.

Mogąc Ci dowieść miłości opadłych płatków szelestem,
Będę umierać szczęśliwa — że żyłam, że kocham, że jestem.

Aby móc dalej tajemnie ścielić Ci drogę na ziemi
I ścieżkę ostatnią—Kalwarii—wysypać płatkami miękkimi.

Maj 1897. **Tłumaczył Tomasz Dobrowolski.**

JAN WEPSIĘĆ

FILOZOFIA WIEKU OŚWIECENIA

Filozofowie wieku XVII, jak Kartezjusz, Spinoza, Leibnitz i inni, zapatrzeni w osiągnięcia matematyki, której prawdy mają wartość powszechną, budowali na jej wzór swe wielkie systemy filozoficzne, snując płonną — niestety — nadzieję, że prawdy ich filozofii będą miały ważność równą prawdom matematycznym. Pragnienia te pozostały tyko marzeniami.

Na innej drodze chcieli dojść do prawd filozofowie w wieku następnym, który w dziejach umysłowości i filozofii otrzymał nazwę wieku oświecenia. Trzeba tutaj dodać, że okres wieku oświecenia nie pokrywa się dokładnie z w. XVIII, bo zaczyna się około 1690 r. a kończy się o dziesięć lat przed końcem w. XVIII, czyli zamyka się w ramach lat: 1690 — 1790.

*

Cechą ogólną wieku oświecenia jest niezwykle szybkie upowszechnianie się tego, co popularnie nazywa się kulturą klas wyższych, dzięki powstawaniu towarzystw naukowych i szybkiemu rozwojowi czasopism. Jeśli renesans zeświecczył naukę i filozofię, to oświecenie upowszechniło ją, wprowadzając ją do salonów, zespalając typ filozofa z typem dworzanina, salonowca. To szybkie upowszechnienie się filozofii dokonało się w pierwszym okresie kosztem głębi myśli.

Obok niej były i inne cechy istotne dla tej filozofii. Pojawiły się bowiem nowe zagadnienia, jak psychologia poznania zapoczątkowana przez Locke'a a kontynuowana przez Condillaca, filozofia moralna utylitarystów angielskich, rozwijających myśl Hobbesa, jak system ekonomii A. Smitha, znanego nam jako klasyka ekonomii liberalno-kapitalistycznej. Jasne, że na skutek tych nowych zagadnień dawne dominujące znaczenie zagadnień przede wszystkim metafizycznych uległo uszczupleniu.

Były różnice nie tylko co do ilości zagadnień, ale i w sposobie ich rozwiązywania. Już nie matematyka, ale nauki przyrodnicze stały się wzorem dla filozofów oświecenia, wiara, że rozum na drodze dedukcji i przy pomocy intuicji może dojść do prawdy należy w wieku oświecenia do przeszłości. Prawdy szuka się teraz na drodze empirycznej, doświadczalnej, jakby nawracając do wskazań F. Bacona.

To zwrócenie uwagi na rolę doświadczenia w dochodzeniu do prawdy miało bardzo ważne konsekwencje, które wiązały się z odpowiedzią na pytanie o pochodzeniu poznania i jego ważności. Odpowiedź streszczała się do stwierdzenia, że źródłem wiedzy, poznania jest doświadczenie, zmysły — i dalej, że poznanie ma ważność w granicach doświadczenia.

Ale jakkolwiek nauka i filozofia oświecenia były zorientowane empirycznie, to jednak często mówi się o racjonaliźmie jako cesze oświecenia. To określenie powstało na skutek silnego podkreślenia wyższości prawd uzyskanych przez doświadczenie, tj. przy pomocy rozumu także nad tradycją i wiarą. Ludzie oświecenia byli racjonalistami dlatego, że życie ludzkie chcieli kształtować według rozumu a nie tradycji i Objawienia. Wierzyli głęboko, że gdyby kierować się rozumem, to można by uniknąć wszystkiego, co jest niekorzystne dla jednostek i społeczeństw. Było to jednak złudzenie i utylitarystów w. XVIII i dzisiejszych naukowych humanistów.

Pod innym natomiast względem filozofowie oświecenia byli skromniejsi. Nie chcieli budować wielkich skończonych systemów filozoficznych. Unikali koncepcji trudnych do sprawdzenia. Słowem bardziej trzymali się rzeczy konkretnych, ziemi. Odrzucali koncepcje bytów idealnych. Ucieczka od tego, co niesprawdzalne, i tego, co idealne, doprowadziła niektórych filozofów francuskich do materializmu.

Mając przed sobą wzory nauk przyrodniczych, starając się przy ich pomocy wyjaśnić badane przez siebie zagadnienia, filozofowie oświecenia kładli nacisk na specjalizację, na ograniczenie się do niewielkich zakresów. Specjalizacja nadawała wiekowi oświecenia piętno minimalizmu.

Szybkie postępy nauk przyrodniczych, poznawanie religii, systemów etycznych i ustrojów społeczno-politycznych ludów pozaeuropejskich nastawiało ówczesnych myślicieli krytycznie wobec wszelkiego dogmatyzmu i stwarzało warunki dla powstania przekonania o względności pojęć ludzkich.

*

Powyższy profil filozofii oświecenia jest bardzo uproszczony. Z drugiej strony daje on schemat obszerniejszy, niż przedstawiają systemy poszczególnych filozofów, które są bardziej ułamkowe, fragmentaryczne. Ta odrębność i fragmentaryczność poszczególnych systemów jest uwarunkowana zarówno odrębnością środowiska, w jakim się taki system kształtował, jak i fazą okresu, w jakiej się pojawił.

*

Początków oświecenia historycy doszukują się w Niderlandach. Właściwą jednak jego kolebką była Anglia, gdzie podstawy dla nowego typu światopoglądu stworzył John Locke. Filozofia angielska w. XVIII była tylko jednym z typów filozofii oświecenia. Odmienny nieco typ stanowiła filozofia francuska tego wieku, na skutek pośrednictwa Woltera, rozwijająca się pod wpływem angielskiej. Odrębny również typ stanowiła filozofia niemiecka tego okresu.

Ze względu na różnice pomiędzy tymi trzema wymienionymi typami filozofii oświecenia omówimy je w trzech artykułach. Następny poświęcimy filozofii angielskiej, dalszy filozofii francuskiej, trzeci filozofii niemieckiej.

Jan Wepsięć

JÓZEF EKKERT

DROGAMI POLAKÓW

NAD WODOSPADEM NILU

Druga wojna światowa wyrzuciła miliony ludności z jej siedzib. Około miliona obywateli polskich znalazło się w Sowieckiej Rosji. Cząstka ich ewakuowana na Środkowy Wschód, w czerwcu 1942r. znalazła się w różnych posiadłościach brytyjskich tropikalnej Afryki, w liczbie około 20 tysięcy, przeważnie kobiet, dzieci i steranych starców. Jednym z polskich osiedli we Wschodniej Afryce było Masindi, liczące około 3.500 ludności, w tym około 1.500 młodzieży szkolnej, uczącej się w czterech szkołach powszechnych, dwu średnich zawodowych i w gimnazjum ogólnokształcącym oraz liceum humanistycznym.



Przy gorących słonych źródłach nad jeziorem Alberta

Osiedle Masindi rozmieszczone w najbliższym sąsiedztwie dżungli, oddalone od ośrodka kulturalnego o 160 mil, nie mogło dostarczyć żadnej rozrywki. Poza nauką szkolną, biblioteki: szkolna i osiedla umożliwiały lekturę, trochę sportu, wycieczki do dżungli, kino dysponujące niezbyt atrakcyjnym programem, oto wszystko. Pewną atrakcją były kąpiele w jeziorze Alberta w Butiabie, porcie znajdującym się na wschodnim brzegu jeziora Alberta. Jezioro to leżące w dolinie tektonicznej, najniższym obszarze na terenie Ugandy, miało słodką wodę nadającą się na kąpiele. Bardzie jeszcze niż kąpiele w Butiabie, lub wycieczki do gorących źródeł słonych i siarczanych w Kibiro, również nad jeziorem Alberta położonym, pociągały młodzież wycieczki jeziorem i Nilem wiktoriańskim do wodospadu Murchisona *).

Wycieczki te mogły się odbywać tylko na wiosnę i to w wypadku, gdy obfite deszcze zenitalne umożliwiały statkowi motorowemu odbycie przejazdu po Nilu. Statek będący w dyspozycji zarządu kolei i portów Kenya-Uganda, mógł zabrać prócz załogi 8 pasażerów. Okresem wysokiego poziomu wody na Nilu była wiosna 1947 roku. Wycieczki szkolne odbywały się pod opieką nauczycieli; młodzież chętnie zgłaszała swój udział. Dojazd do portu Butiaba, odległego 27 mil, ułatwiała administracja osiedla, dostarczając ciężarowe auto. Droga prowadziła przez lasy, okrywające sąsiednie wzgórza; dołem płynęły wartkie strumyki.

Prześliczny widok rozpościerał się na dolinę albertyńską ze świetnej drogi, łączącej port Butiaba z portem nad Nilem, Misindi, w pobliżu grobu słynnego myśliwego Pearsona i osiedla Bukumi. Znad urwistej ściany doliny, sterczącej 1500 stóp ponad poziom jeziora, ujrzeliśmy dolinę albertyńską. Początek tej doliny uskokowej sięga od doliny Jordanu aż do rzeki Sabi, w Mozambiku. Dolina ta, zwana także Wielkim Rowem, biegnie od Jordanu przez Morze Martwe, półwysep Synai, Morze Czerwone i zatokę Adeńską, Abisynię i Sudan, a na wysokości jeziora Rudolfa, dzieli się na odgałęzienie wschodnie, przecinające Kenyę i Tanganyikę oraz obejmujące jezioro Nyasa. Na północ od tego jeziora przez jezioro Rukwa, dochodzi do jeziora Tanganyika,Kivu, Edwarda i Jerzego, a wreszcie doliną albertyńską dochodzi aż do Gondokoro nad Nilem.

Stromą serpentyną zjeżdżamy w dolinę idealnie równą, dawne dno jeziora albertyńskiego, gdy stan jego wód był znacznie wyższy aniżeli obecnie. Ściana zachodnia jeziora, szerokiego 22 mile, jest świetnie widoczna; jej wysokość dochodzi w najwyższym wzniesieniu do 8020 st. Myśl nasza odbiega jednak od cyfr; oczy rozkoszują się przecudnymi barwami tafli jeziora, raz ciemnobłękitnej, to znów szmaragdowej. Za smugą wody widnieje ciemna sylweta ściany zachodniej doliny. Na jej ciemnym tle jaskrawo odbijają się srebrne wstęgi strumieni, spływających po stromych zboczach wprost do jeziora, którego wody dochodzą miejscami tuż do ścian doliny. Wąska stosunkowo smuga wody i sterczące w górę ściany przypominają raczej fiordy norweskie.

W północno - wschodniej stronie jeziora uchodzi Nil, a ledwie 5 mil od tego ujścia znajduje się już wylot Nilu, wzbogaconego wodami jeziora Alberta, Edwarda i Jerzego. Wody tych dwu ostatnich jezior przynosi ze sobą Semliki, miejscami bardzo wartka, niosąca ze sobą sporo żwiru i piasku, którego złoża powodują znaczną płytkość w południowej części. Wspaniały kontrast między ciemnym kolorytem jeziora i jego sterczącej ściany zachodniej, a mieniącego się złotem promieni zachodzącego słońca na ostro zarysowanych konturach zachodniej ściany, pochłania całkowicie naszą uwagę.

Motorowiec po naszym przybyciu ruszył w drogę, aby o świcie znaleźć się już poza deltą Nilu 4 milowej szerokości przy ujściu do jeziora. Ranek zastał nas już na pokładzie statku, płynącego spokojnie po szeroko rozlanym Nilu, bardzo leniwie płynącym. Północna część jeziora i cała trasa wycieczki prowadzi przez rezerwat wielkości 1800 mil kw. Cały ten obszar jest niezamieszkały z powodu panującej tutaj malarii i muchy tse-tse. Rezerwat ten obejmuje też wieczne zieloną puszczę deszczową Budongo, obfitującą w liczne stada bawołów, słoni, a zwłaszcza antylop różnego gatunku i małp. Nad brzegami Nilu hipopotamy spasają bujną trawę. Krokodyli sporo widać na brzegach z otwartymi paszczami, wygrzewającymi się w tropikalnym słońcu. Na spokojnych wodach Nilu wykwitają pęki wodnych kwiatów; to znów kormoran lecący nisko nad wodą, zda się tylko muśnie jej powierzchnię, ale jednak w jego dziobie widzimy trofeum w postaci znacznej ryby. Olbrzymie czaple upatrują w locie dogodne miejsce do lądowania; oto widzimy jak zielonopióra ogromna czapla niefrasobliwie ląduje obok krokodyla, zażywającego wczasów.

Rezerwat, przez który przejeżdżamy, robi wrażenie ogromnego zoologu bez klatek. Człowiek usunął się z tej ziemi; rządzi na niej nieubłaganym prawem lew, król puszcz afrykańskich. Rzadko jaki zakątek tropiku może poszczycić się takim bogactwem zwierząt, jak ten odcinek Nilu wiktoriańskiego. Chroniony zwierz wiecznie zieloną puszczą deszczową i ustawą administracji kolonialnej oraz Nil ze swym bogactwem fauny są stanu tego przyczyną.

Ale znowu inna atrakcja: spłoszony statkiem olbrzymi bawół cwałuje znad brzegu w głąb wspaniałej równiny nadbrzeżnej, unosząc na grzbiecie białego ptaka wielkości naszej kaczki cyranki, pilnie wyszukującego pasorzytów w potężnej skórze. W odległości 300 metrów na przeciwnym brzegu znów wspaniały okaz czarnego nosorożca skubiącego spokojnie trawę. Spłoszone antylopy biegną z wodopoju przez gęste krzaki w wysokich i długich susach. Kozioł Cumminga z jasnymi pręgami po bokach, przypominającymi uprząż konia, obok olbrzymiej kudu z rogami spiralnie skręconymi, mkną w głąb lądu.

Papirus i krzewy, rosnące na brzegach Nilu, obwieszone gęsto gniazdami małych ptaków; obok grupy kilkunastu krokodyli stoją marabuty, a kormorany po rannych łowach, z rozpiętymi skrzydłami wygrzewają się, siedząc na wysokich drzewach. Od dłuższego już czasu obserwujemy na Nilu gęsto rozsiane pęki białej piany; są to zwiastuny niedalekiego wodospadu. Zbliżamy się do Fajao, miejsca zakotwiczenia statku, stąd już tylko półtorej mili do wodospadu. Ten ostatni odcinek drogi odbywa się pieszo po bardzo stromym i wysokim brzegu Nilu. Oczy naszej ósemki zwracają się do celu naszej wycieczki.

Spoglądamy na wodospad. Srebrną wijącą się wstęgą zwisa na tle ciemnych skał i gęstej zieleni krzewów i drzew. Olbrzymie bloki skalne ,rozrzucone po obu brzegach huczącego strumienia, spadają w trzech kaskadach z wysokości 130 stóp. Nad wodospadem wykwita mleczna mgła rozbitej na drobiutkie cząsteczki wody nilowej. Niekiedy powiew wiatru zepchnie ją na zieleń prawego brzegu, to znów na chwilę panująca cisza w powietrzu, umożliwia mgle wzniesienie się wysoko w górę.

Po zakotwiczeniu statku tuż przy lewym brzegu, po przerzuconej przez burtę desce schodzimy na brzeg, zalesiony pięknym wysokopiennym, zwartym lasem. Lecz na brzegu znajdujemy równy spłacheć porośnięty bujną trawą. Nasza gromadka powiększa się o przewodnika kapitana statku, strzelca z naładowanym sztucerem, zajmującego czoło pochodu i paru krajowców ze statku, niosących chłodne napoje, które po upływie paru godzin chciwie wysączyliśmy do dna. Wąska ścieżyna pozwalała na przemarsz jedynie w szyku „gęsiego". Nagle po wyjściu z gęstwiny spotykamy przed sobą w odległości kilkudziesięciu metrów stado hipopotamów, spokojnie wygrzewających się na brzegu po obu stronach ścieżyny. Idziemy dalej a hipopotamy ani rusz nie objawiają ochoty usunięcia się nam z drogi. Spostrzegamy tylko ich gniewne oczy, skierowane na nas, jakby chciały wyrazić niezadowolenie z intruzów, przeszkadzających im w sjeście. Jesteśmy już w odległości 30 metrów a stado niewzruszone spoczywa dalej. Czujemy już, przyniesioną powiewem wiatru, niemiłą woń zwierząt zmieszaną z wonią błota Nilu. Spoglądam na Haneczkę, 11-letnią uczennicę, najmłodszą uczestniczkę wycieczki, lecz ku mojemu zadowoleniu widzę jej uśmiech i minę pełną fantazji. Z boku spoglądam na jej matkę, nauczycielkę szkoły, ale i ona nie zdradza obaw z tak bliskiego sąsiedztwa potwornych zwierząt, o których krąży powszechna legenda, że gniewnie atakują śmiałków, żeglujących w łodziach po zakolach rzek, tworzących ich ulubioną ostoję. Nasza grupa idzie śmiało naprzód. Wreszcie w odległości 20 kroków spostrzegamy nagły zryw stada, rzucającego się z brzegu do wody. Nie odpłynęły jednak od brzegu, lecz zwróciwszy się frontem do nas, jedne prychały, wyrzucając w górę strugi wody, inne porykiwały. W oczach ich, osadzonych na potwornych głowach, czytaliśmy gniewne oburzenie.



Wodospad Murchison

Mijając stado, posuwaliśmy się dalej ścieżyną, skręcającą na prawo w las. Tutaj znów niespodzianka. Na trawie oddawało się ochoczej zabawie stado małp wielkości psa bernarda. Na nasz widok błyskawicznie skacząc, wspięły się na wysokie drzewa. Podziwialiśmy ich niezawodną zręczność, jak w kilkumetrowych skokach z jednego drzewa osiągały korony sąsiednich drzew. Ich instynkt nigdy nie zawodził. Po skoku, uchwycona gałąź uginała się pod niespodziewanym ciężarem; nie zauważyliśmy jednak, aby się jakaś złamała. Nie zauważyliśmy również niefortunnego uchwytu, jakkolwiek skoki były kilkumetrowe. W gęstych koronach drzew migały ich białe plamy na szyi, na bokach i na końcu ich puszystego ogona, kontrastując z czarnym owłosieniem reszty ich zwinnego ciała. Małpy te bardzo liczne w tych okolicach należą do gatunku Colobus. Oprocz nich spotkaliśmy w naszej drodze ku wodospadowi stado babunów, brunatnych małp o minach serio. Nasz odcinek drogi stawał się cięższy, brzeg Nilu wysoki, stromy a myśmy znajdowali się jeszcze niemal na poziomie rzeki. Często na czworakach wspinaliśmy się w górę, a gdy czasem ziemia zmieszana z kamieniami usuwała się spod nóg, trzeba było odrobić nową spinaczką, pomagając sobie chwytaniem się pni drzew lub krzewów. Na ścieżce i w odsłoniętych miejscach obok ścieżki błyszczały w słońcu, które już niemal dosięgało zenitu, setki kryształów miki. Wreszcie osiągnęliśmy krawędź brzegu Nilu. Brzeg pocięty był dolinami, biegnącymi w rozmaitych kierunkach. Obok naszej ścieżki spotkaliśmy wiele pieńków drzewa hebanowego, bardzo w tych stronach pospolitego, używanego do wyrobów rzeźbiarskich. W pewnym momencie dolatuje nas z ust przewodnika słowo: słonie! Ruchem ręki wskazał nam miejsce, gdzie stała grupa słoni, złożona z 6 słoni starych i 2 młodych. Ciemna ich barwa świetnie asymilizowała się z otoczeniem. Po pewnej chwili — a znajdowaliśmy się w odległości około 300 metrów od słoni, usłyszeliśmy gwizd naszego przewodnika. Ten gwizd wyprowadził słonie z dotąd zachowanej równowagi. Niesłusznie podejrzewając nas o wrogie względem siebie zamiary, uformowały słonie w swym pochodzie kolumnę, biorąc w środek kolumny swoje młode; na czele i z tyłu biegły stare,

(**Dokończenie na str. 6-ej**)

*) Odkrywca wodospadu, podróżnik Baker, nazwał go na cześć Murchisona słynnego geologa i prezydenta Królewskiego Towarzystwa Geograficznego.

STANISŁAW ZADROŻNY

REYMONT W PARYŻU

Café de Pantheon znajduje się na skrzyżowaniu ulic: Soufflot i Bld St. Michel. Miejsce jest ruchliwe, ładne i wystarczy usiąść na tarasie kawiarni a z jednej strony otworzy się widok na gmach Panteonu, zaś z drugiej na Ogród Luksemburski. Przy wejściu do tego ogrodu drzewa przypominają nadwiślańskie topole. We wczesnych godzinach wiosennego dnia, powietrze rozbrzmiewa tutaj krzykiem dzikich gołębi.

Ulica i placyk oddawna są tu takie same. Ta pewność, że tu wszystko stoi oddawna, że czas jest po to, by dorzucać tylko potrochu patyny tym gmachom, jest niesłychanie kojąca. Wiemy, że dom ten na przeciwko, że kawiarnia ta i tamta stały tu oddawna, że w okresie początkowym tego stulecia przychodziły tutaj tak jak dziś osoby przeróżne, siadały, rozmawiały, uśmiechały się.

Do tej też kawiarni przychodzili na codzienne spotkania nasi rodacy, bawiący w owym czasie w Paryżu. Były to różne postacie wąsate, w tużurkach, bufiaste wedle ówczesnej mody. Niektórzy zaciągali mocnym akcentem kresowym, sadzili „mości dobrodziejami". Ale przychodziła tutaj również grupka zgrana, zżyta, przesiadująca w kawiarni godzinami.

I tak na codzienne spotkania południowe przychodził tutaj Jan Lorentowicz, Stefan Żeromski, Kazimierz Woźnicki, późniejszy sekretarz ambasady polskiej w Paryżu, Kazimierz Gościcki, Gustaw Simon. Przychodził również regularnie i codziennie Władysław Stanisław Reymont, gdy tylko był w Paryżu, a szczególnie w tym okresie, gdy mieszkał stąd niedaleko na rue Rollin pod czwartym.

Pisał wtedy „Chłopów". Pracował systematycznie, z chłopską skrupulatnością. Wstawał wcześnie rano i pisał do południa. Potem szedł na spotkanie z przyjaciółmi do Café de Pantheon.

Siadał wśród znajomych jeszcze podniecony pisaniem, jeszcze niespokojny, przeżywający dzieje swych bohaterów. Wyglądał ponad swój wiek. Trochę masywny, ciężki, niespokojny skutkiem choroby serca. Przyjaciele pytali: „Jak się panu dzisiaj pisało?"

Cóż za dziwne pytanie! Przecież pisanie dla niego było rzeczą najbardziej bliską, było potrzebą. Nie mozolił się nad rękopisem, jak się często zdarzało Żeromskiemu. Toteż z pogodnym uśmiechem zagarniając chłopskim ruchem, palcami w górę, niesforną czuprynę, mówił:

—Dobrze. Zupełnie dobrze.

Niekiedy znajomi pytali go, co do południa napisał. Opowiadał wtedy, wpatrzony w Ogród Luksemburski dzieje Boryny, Jagny lub innych „Chłopów". Opowiadał nawet dalsze, jeszcze nienapisane dzieje swej powieści, bo już miał całą wizję gotową, trzeba było tylko nadać jej formę słowa. Przejęty był tym, co tworzył. Niekiedy w tych twórczych zwierzeniach zapalał się i wtedy wplatał w opowiadanie chłopskie wyrazy, których zebrani towarzysze nie zawsze rozumieli. Sposób mówienia miał szorstki. Dziwnie dźwięczały w ustach wielkiego pisarza gwarowe formy jak: „dobrom", „dajom", zamiast „dobrą", „dają".

We Francji był zakochany. Paryż był najbardziej ulubionym miejscem pracy. Często tutaj wracał. Napisał tutaj najlepsze swe utwory. W lutym 1910 roku tak pisze z Zakopanego do Paul Cazin'a: „Zabieram się do wielkiej pracy historycznej. Zamierzam napisać cykl powieści o naszych powstańcach. I ponieważ w Paryżu czuję się najlepiej i dobrze mi się pracuje, pozostanę tam dość długo".

Istotnie w kilka miesięcy później był już w Paryżu i rozpoczął pracę nad „Rokiem 1794". Temat wymagał historycznych dokumentów. Chodził przeto Reymont często do Biblioteki Polskiej na Quai d'Orleans. Ale nie było w pisarzu nic z wnikliwości badacza. Ufał przede wszystkim swej wyobraźni, intuicji twórczej i obserwacji życia i żywego człowieka. Przed wejściem do Biblioteki Polskiej odrzucał niedopalonego papierosa i odgarniając ruchem lekceważenia to całe królestwo książek mówił:

— Spalić to wszystko!

Prowadziliśmy — pisze Cazin — częste dyskusje na temat książek. Reymont zarzucał mi, że „za dużo czytam, a za mało piszę".

We Francji Reymont interesował się przede wszystkim przejawami życia artystycznego. Ta atmosfera była mu potrzebna, wyrównywała braki w jego wykształceniu. Ale śledził również sprawy publiczne tego kraju. Jego poglądy na te sprawy były zresztą dość niecodzienne. Ówczesnej republiki nie lubił. Twierdził, że rząd nie reprezentuje właściwości narodu francuskiego. Kiedyś siedząc z Paul Cazin'em w kawiarni Regence powiedział nagle:

— Panie Pawle, wam trzeba by cesarza!

Był urzeczony charakterem narodu francuskiego. Określał ten charakter przez słowo: elegancki. Słowo to wymawiał zawsze ze szczególnym wdziękiem. Pochylał przytem głowę z czułym uśmiechem, podnosząc trzy palce w górę.

W czasie swych częstych i długich pobytów w Paryżu zetknął się Reymont z różnymi wielkościami ówczesnego świata literackiego. Były to jednak kontakty przypadkowe, oficjalne. W stosunkach przyjacielskich pozostawał jedynie z Paul Cazin'em. Sprawiła to ta okoliczność, że Paul Cazin znał język polski.

Reymont nie uczył się nigdy języka francuskiego. Skrzętnie tę słabość, jak i wiele innych ukrywał. Było to źródłem złośliwych anegdot i żartów. Antoni Potocki mówił, że cała znajomość języka francuskiego u Reymonta to dwie litery: „n", „t". Miał to być skrót fonetyczny od wyrażenia, które Reymont naprawdę znał: „Garçon, un thé".

Pewnego razu Reymont niefortunnie się przejęzyczył. Było to na bankiecie, zorganizowanym w roku 1909 przez Towarzystwo Polsko-Francuskie. Bankiet zorganizowany był na cześć Reymonta. Przewodniczył J. H. Rosny, członek Akademii Goncourtów. Po przemówieniu Rosny'ego zabrał głos Reymont. Tekst swego przemówienia miał przetłumaczony na francuski. Oto końcowy fragment tego przemówienia:

„Żałuję niezmiernie, że władam tak źle waszą cudowną mową i nie mogę wam podziękować tak, jak bym tego pragnął. Pozwólcie chociaż niedołężnie wyrazić serdeczne podziękowanie i wdzięczność, zwłaszcza przewodniczącemu dzisiejszego zebrania panu J. H. Rosny, wielkiemu piewcy cierpienia i niedoli, tak znanej polskiemu sercu. Mówię w imieniu swoim, ale jestem pewien, że każdy Polak czuje to samo: Niech żyje Francja! Francja, to słońce, do którego tęsknią wszystkie uciśnione ludy. Francja — to źródło postępu i wolności. Francja — oaza święta wygnańców i wszystkich cierpiących prześladowanie. Bo wasza sztuka, wasza literatura i wasza idea zapładniają ludzkość radosną wiedzą życia. Jesteście pochodnią świata i jego zbawieniem".

Ale chochlik czuwał. W chwili, gdy Reymont zwracał się z podziękowaniem do Rosny zamiast: „Chantre de la misere", co miało oznaczać: „piewca niedoli", przeczytał: ‚gendre de la misere', co wypadło: „zięć niedoli".

Chodził jednak Reymont w Paryżu bardzo często do teatru. Treść akcji rozumiał przez artystyczną wrażliwość, rozpoznawał ją po aktorskich gestach. Czego nie zdołał pojąć, tłumaczyła mu żona, która znała doskonale język francuski.

Okres, w którym otrzymał nagrodę Nobla, przypadł na resztki życia, jakie mu zostały. Nie odnajdzie w sobie triumfu, ale goryczy.

— „Gdy miałem zęby, nie miałem co jeść, gdy wreszcie mam co jeść, zęby wyleciały" — tak zdefiniuje to przeżycie.

Na kilka miesięcy przed śmiercią, to jest w maju 1925 roku jest po raz ostatni w Paryżu. Uroczystości, bankiety odbierają mu resztę sił. Jest oklaskiwany i musi się ukazywać, ale najczęściej przebywa w łóżku. Przytłacza go narastający niepokój śmierci. Chce żyć. Ma mnóstwo projektów. Targuje się ze śmiercią, bo chce jeszcze coś napisać.

Gdy po raz ostatni spotyka w Paryżu swego przyjaciela Paul Cazin, pyta go bezradny:

— Panie Pawle, dlaczego trzeba umierać?

W kilka miesięcy potem w Warszawie był pogrzeb Reymonta. Niewiadomo, czy umierał jeszcze z tym buntem w sercu, czy już pogodzony z przeznaczeniem.

Pozostały po nim jego nieśmiertelne dzieła.

Stanisław Zadrożny

NAD WODOSPADEM NILU

(Dokończenie ze str. 5-ej)

znikając w tym marszu ubezpieczonym z naszych oczu..

Do naszych uszu już od dłuższego czasu dolatywał huk wodospadu, w miarę zbliżania się ku wodospadowi łoskot ten przypominał burzę tropikalną z raz po raz uderzającymi piorunami. Lecz wodospadu nie widzieliśmy, przesłaniały go krzewy i drzewa. Jeszcze kilka chwil i stajemy przed przepiękną panoramą wodospadu. Nil tuż powyżej wodospadu na kilkaset metrów szeroki zwęża się nagle i cała masa wody nilowej wtłacza się w szczelinę szeroką 19 stóp, otoczoną ogromnymi blokami skalnymi, tworzącymi ściany, jakby olbrzymiej śluzy, przez którą przelewa się woda. Wodospad należy do typu wodospadów kaskadowych, których wody spadają po kilku terasach w dół. Takich kaskad wodospad Murchison ma trzy łącznej wysokości 130 stóp. W miarę przyglądaniu się temu fenomenalnemu tworowi natury coraz bardziej ulegaliśmy jego urokowi. Huk ogłuszający uniemożliwiał porozumiewanie się, bloki skalne, na których staliśmy tuż nad przepaścią, drgały wstrząsane potęgą wody bijącej o ściany 19 stopowej szczeliny, przez którą Nil spadał w dół. Cisnąca się wprzód woda, nie mieszcząca się w ścianach szczeliny, piętrzy się w górę i rozpryskuje. Prąc na boki ścian powoduje wstrząsy bloków skalnych, tworzących ściany szczeliny. Na niedługim stosunkowo dnie tej szczeliny, nachylającej się stopniowo w dół, odbywa się tytaniczna walka od wielu już wieków dwu żywiołów: wody i skał. Skutki tej niebłaganej i nieprzerwanej walki widać u stóp wodospadu w zwałach ogromnych bloków skalnych, odrywanych przez wodę. Ofiarą wartkiego nurtu wody padają setki ryb porwanych prądem wody w dół. Giną one na twardych skałach kaskad wodospadowych, aby u stóp wodospadu stać się łatwym łupem krokodyli. Rozbijane masy wody o napotkane skalne przeszkody unoszą się w postaci drobnych cząsteczek jako mgła, bezustannie okrywająca wodospad. W promieniach słońca spadająca woda i jej rozbite niezliczone cząsteczki mienią się barwami tęczy, dodając do uroku groźnej potęgi żywiołu, atrakcję pociągającą nasze oko swym pięknem. Ta gigantyczna walka żywiołu powtarza się na każdej z trzech kaskad, by spłynąć wreszcie ku Fajao białą wstęgą spienionych kęp, okrywających rzekę na całej jej znacznej już szerokości u stóp wodospadu. Tutaj rządzi nieubłagane prawo natury. Dawniej był tutaj prom, przewożący karawany kupieckie na północ do Sudanu i w przeciwnym kierunku, do centralnej Afryki. Kroniki turystów, zwiedzających wodospad notują wstrząsające sceny walk między hipopotamem a krokodylem, lew zabijający i pożerający krokodyla, olbrzymi słoń przepływający rzekę.

Urok wodospadu opanował nas do tego stopnia, że przez długą chwilę nie mogliśmy dzielić się doznanymi wrażeniami. Czujemy ubóstwo naszego języka, nie potrafimy się jeszcze wypowiedzieć. Skupiona nad przepastnym brzegiem wodospadu nasza gromadka przeżywa doznane wrażenia w ciszy i milczeniu. Dopiero głos przewodnika poderwał nas z zadumy, przypominając, że pora już wrócić na statek. Droga powrotna zbiegła szybko na dzieleniu się wzajemnymi wrażeniami. Słońce tak cudnie błyszczące w błękicie wód jeziora wita nas w Butiabie tym samym żarem tropiku, co wczoraj. Kontury portu Butiaby rysują się przed nami coraz wyraźniej. Godzina wieczorna szybko zbliża się do nas swoim zmrokiem, skoro słońce skryło się za wysoką, ponad wodą jeziora sterczącą zachodnią ścianą jeziora albertyńskiego na belgijskim brzegu Konga.

Józef Ekkert

BELA BARTOK

(Dokończenie ze str. 3-ej)

lecz nie na tych Węgrzech, które on tak kochał, które opuścił w 1939 roku i do których nie chciał powrócić w 1945, widząc, że okupacja, co zmieniła jedynie barwę z czarnej na czerwoną, nadal trwa.

Radostowa

Jan Tokarski

„Twurczość Musi Być Wszehpszenikająca i z Nug Waląca"

Przypomniał niedawno w interesującym felietonie we „Lwowie i Wilnie" p. M. K. Pawlikowski rosyjskich futurystów. Może warto z tej okazji przypomnieć polskich futurystów. — „Pszypomnieć polskih futurystuw" — jak to oni pisali własną futuroortografią — spóźnionych, jak zawsze, o kilkanaście lat nie tylko w stosunku do zachodnich ale i do wschodnich kolegów.

Minęło niedawno 40 lat, jak powstał futuryzm, — we Włoszech, jak to wiemy. Ojcem jego był Marinetti. Powstał ten kierunek głoszący p r z y s z ł o ś ć i odwołujący się do przyszłości właśnie w Italii, najwspanialszym grobowcu p r z e s z ł o ś c i, jako namiętny protest przeciw historyzmowi, grobom wielkości i temu wszystkiemu, co przeszłość stworzyła. Futuryzm nakazywał ją przekreślić. Hasło to, jak je później ujęli nasi futuryści, brzmiało:

„Nie wolno (...) nikomu twożyć i konstruować tak, jak to czyniło śę jusz kiedyś pszed nim. Żyće płyńe napszud i ńe powtarza śę. Twurcę każdego obowiązuje to wszystko, co zastał+ten cudowny skok, ktury artysta każdy uczynić musi w prużnę wszehświata".

— Koń o 43 nogach. Pies z wachlarzem ogonów. Człowiek z wirem profilów, w mgławicy porozrzucanych członków. Oto malarstwo futurystyczne i tak zwana perspektywa centryfugalna.

— Słowa wyzwolone („parole in liberta" — jak to nazwał Marinetti). Rzeczowniki. Czasowniki tylko w trybie bezokolicznym. Precz ze śmiesznymi agrafkami przysłówków i przymiotnikami, „które spełniają idiotyczną rolę przystanków". Precz z interpunkcją. Pisownia fonetyczna, a więc tak, jak „się wymawia". Językowi nie wolno się posługiwać przyjętymi, „passeistycznymi" pojęciami. Słowo ma tylko wartość dźwięku. Obowiązuje zupełnie nowy układ typograficzny: wiersze w postaci figur geometrycznych, w postaci fontanny itd., co zostało przyjęte z — Apollinaire'a. W swych „Calligrammes" wychodząc od Mallarmé'ego i kubistów, drukował wiersze w taki sposób, aby miały kształt przedmiotów, które ten świetny zresztą poeta ewokował w swych poematach.

Gramatyka — twierdzili futuryści, a jeszcze dobitniej dadaiści — jest zabójstwem poezji. Zdanie jest antypoezyjnym dziwolągiem. Poetę obowiązuje nakaz twórczości bezwzględnie nowej. Tak przedstawiał się, z grubsza biorąc, postulat formy w poezji futurystycznej. Oto malutki przykład tej poezji, fragmencik wiersza B. Jasieńskiego pt. „Wiosenno":

TARAS koTARA STARA raZ
biAłe pAnny
poezjAnny
poezOwią poezAwią
poezYjne poezOSny... itd.

Jest to przykład bardzo jeszcze niewinny. Można bowiem, niestety, zrozumieć wszystko, o co poecie chodzi. A przecież znane futurohasło głosiło: „być zrozumiałym — nie jest rzeczą wcale konieczną". Inni twierdzili wręcz, że —być niezrozumiałym jest rzeczą najważniejszą. Francis Picabia zaś w swym „Manifeście dadaistycznym" (Manifeste du mouvement Dada) pisał: „Nie rozumiecie — nie prawda — tego ,co robimy? Świetnie, drodzy przyjaciele: my sami rozumiemy to jeszcze mniej"!

W Polsce, mimo działalności już przed pierwszą wojną Jankowskiego („Spłosz lotnika", „Tram w wpopszek ulicy"), ojcem futuryzmu tak w poezji jak i w malarstwie jest Tytus Czyżewski. A teren działania — rzecz przedziwna — Kraków! Żyjący historią i pogrzebami historycznych wielkości Kraków. Po pierwszych próbach rozgłosił się futuryzm na dobre dopiero z początkiem 1918 roku, w rok po założeniu klubu „Katarynka".

Odtąd zaczął się jego okres burzy i naporu. Sypią się awantury tak pożądane przez futurystów, wielbiących ponad wszystko ruch. I pojawiają się ulotki programowe. Oto słynna

JEDNODŃUWKA FUTURYSTUW
mańifesty futuryzmu polskiego
wydańie nadzwyczajne
na całą Żeczpospolitą Polską
Krakuw czerwiec MCMXXI.

Jest to ów słynny „Do narodu polskiego manifest w sprawie natychmiastowej futuryzacji żyća", podpisany i prawie w całości napisany przez Brunona Jasieńskiego.

Pozwolę sobie przytoczyć tu znamienniejsze wyjątki:

„Ogłaszamy za St. Bżozowskim wypszedasz staryh rupieci. Sprzedaje śę za pułdarmo stare tradycje, kategorie, pszyzwyczajenia, malowanki i fetysze. Wielkie ogulnonarodowe panopticum na Wawelu. (Tu żałuję bardzo, że mi Redaktor „Gazety Literackiej" niewątpliwie nie pozwoli na przytoczenie programu futurystów, wyrażonego krótko i kolorowo w stosunku do „świętości narodowyh". A szkoda!...)

Będźemy zwoźić taczkami z placu, skweruw i ulic ńeświeże mumje mickiewiczuw i słowackich...

My. ludźe o szerokich płucach i rozrośnętych barah, kihamy od mdłyh zapahuw weszego mesjańizmu. Podkreślamy tszy zasadnicze momenty wspułczesnego życa: maszynę, demokrację i tłum (...)

Odżucamy parasole, kapelusze, melońiki, będźemy hodźić z odkrytą głową. Szyje gołe! Tszeba, aby każdy jaknajbardziej śę opalił. Domy budować należy ze śćanami szklanymi od południa. Więcej światła, powietsza i pszestszeni! Gdyby Sejm polski obradował na powietszu, napewno mielibyśmy o wiele słonecznejszą konstytucję.

Sztuka musi być ńespodźaną, wszehpszenikającą i z nug walącą!

Każdy może być artystą. Tehńika jest tak samo sztuką, jak malarstwo, żeźba i arhitektura.

Dobra maszyna jest wzorem i sztytem dźeła sztuki pszez doskonałe połączeńe ekonomiczności, celowości i dynamiki. Aparat telegraficzny Morsego jest 1000 razy większym arcydźełem sztuki niż Don Juan Byrona.

Pohwalamy żyće, kture jest wiecznym mozolnym zmieńańem śę — ruh, motłoh, kanalizacje i Miasto.

Poezja muśi być codźenną, głęboko aktualną i powszehną.

Romantyczny smęt ruż i słowikuw dawno pszestał jusz na nas działać.

Bezwzględna wartość dźeła sztuki waha śę pomiędzy 24 godźinami a mieśącem.

W kraju, gdźe wszystko pszeżywa śę tak powoli — u nas — pszedłużamy ten termin do 1 roku. Po upływie tego czasu wszystkie ńewyspszedane kśążki mają być wycofane z handlu kśęgarskiego. Wszelkih drugih i tszecih wydań zabrańa śę. Ne poddający śę temu postanowieniu poćągńęći będą do odpowiedźalności pszed społeczeństwem, kture samo rozstszygać będźe poszczegulne wypadki w drodze plebiscytu".

Bardzo sugestywne jest stanowisko futurystów wobec krytyki. Udowodniwszy mianowicie, że Polska ma idiotów, a nie krytyków, futuryści wezwali autorów, by sami zaczęli pisać recenzje ze swych dzieł, aby przestali już fundować obiady i kolacje na poczet życzliwych wzmianek i artykułów. Zwłaszcza, że „jako najbliżej żeczy stojący i najbardźej, bądź co bądź, kompetentni, mogą powiedzieć na ten temat (t.j. swych dzieł) parę cekawyh słuw, co w poruwnaniu z bezpłćową mlamlańiną t. zw. ‚krytykuw zawodowyh' będźe skarbem jusz ńe do obliczeńia".

Za hasłem poszedł czyn. Pokazali nam futuryści — co prawda nie oni pierwsi i nie ostatni — jak wyglądają autorecenzje. Mianowicie w tym samym numerze krytykę o swych dziełach napisał Anatol Stern, krytykę p. t. **„Ja o sobie"**:

„Tszy lata temu ukazał śę, budząc pszerażeńe mieszczuhuw, muj Czyn miłosny w Paragwaju. Zobaczywszy tę kśążkę, kśęgaż Mortkowicz dostał ataku. Wyraz tępego lęku pozostał nazawsze w rybih ślepiah tego żywego pruhna. Kilkuset zawodowych krytykuw — idiotuw i dyletantuw starało śę coś powiedźeć o tych 12 żułtyh stronnicah, oprawionyh w płomienny oranż. — Co może powiedźeć pokojowy jamnik o Atlantyku, albo o pędzącym za kohanką nosorożcu?... Jest to nowa ewangelia zapału, kożołka, radości, pięści okrągłej ziemi i kwadratowej, stszelającej głowy. Sławće Sterna!... Żądam wystawieńa mi ńe pomnika, jak dantom i mickiewiczom, ale telegraficznego słupa, na kturym mugłbym powieśić moich wroguw i wroguw tłumu — krytykuw, z najsmrodliwszym spośrud nih, wileńskim fotografem Bułhakiem na czele".

Rzecz, jak widzimy, napisana z ujmującą skromnością i nie bez poczucia humoru.

Nie mogę przekroczyć miejsca na ten felieton przeznaczonego. A wartoby w związku z futuryzmem powiedzieć o nim sporo dobrych rzeczy bo niemało dobrego pozostawił po sobie i w prozie i w poezji, aby do tych dwu sztuk się ograniczyć. — Jak wiemy, powstał futuryzm we Włoszech. Na barkach futurystów — tak powiedziano — stanął potem faszyzm, który doszedłszy do władzy, gorąco nim się zaopiekował. Ale — przez dziwną ironię losu — protektorzy futuryzmu zwrócili się przede wszystkim ku klasycyzmowi, koturnowo kinowej monumentalności, całą pełnią nawiązali do historii. Ku temu klasycyzmowi, który futuryści mieszali z błotem przy każdej okazji.

Na dobitkę, futuryzm — ten junacki infantylizm, który palił, zdawałoby się, mosty za wszelką przeszłością, doczekał się jeszcze za pełnego życia najbardziej kompromitującego nagrobka. Oto udowodniono mu (C. Pavolini, także K. Vossler) ni mniej ni więcej, tylko że jest najanarchiczniejszą odnogą tak przecież skierowanego ku przeszłości romantyzmu!

Jest w tym dużo prawdy. Niewątpliwy jest romantyczny rodowód futurystów. Ale za pośrednictwem naturalizmu i impresjonizmu. Jeśli impresjonizm był naturalizmem kaprysu, rozleniwionego kaprysu, futuryzm był histerią naturalizmu. Ale futuryzm, to nie tylko znak przesytu pewnej epoki, znudzenia „dawnymi, dobrymi czasami", ale także znak chaosu czasów po pierwszej wojnie, która żadnych problemów nie rozwiązała, a postawiła nowe. Było w nim jednak coś świeżego również, i jakieś przeczucie pośpiechu rzeczy nowych, które nadciągały.

Ale to tylko felietonik. A więc na zakończenie fragment parodii Jerzego Brauna, zatytułowanej **„Od klasyka do dadaisty"**. Braun wziął sobie temacik: **Melania i Józef kochali się bardzo. Razu pewnego Józef zmarł nagle, a Melania zabiła się nad jego grobem.** Pokazał, jak ten motyw opracowałby poetycko pseudoklasyk, potem romantyk, dalej symbolista i wreszcie futurysta i dadaista. Opuściwszy trzech pierwszych, oddajmy głos futuryście i dadaiście:

FUTURYSTA

Józef, Melania, Dwoje

Szary, długi pan na zielonej ścianie.

Miłość i krzyk. Tramwaj. Kości moje...

Zgruchotał. Leży. Truposz w karawanie.

Czy tu, czy tam... Pogrzebowa drynda...

A na cmentarzu jej wisielec dynda —

Trrr... Telefon... Co? jak?

Powiesiła się... zdechła... — a tak!

DADAISTA

Józef ure mela nije panna

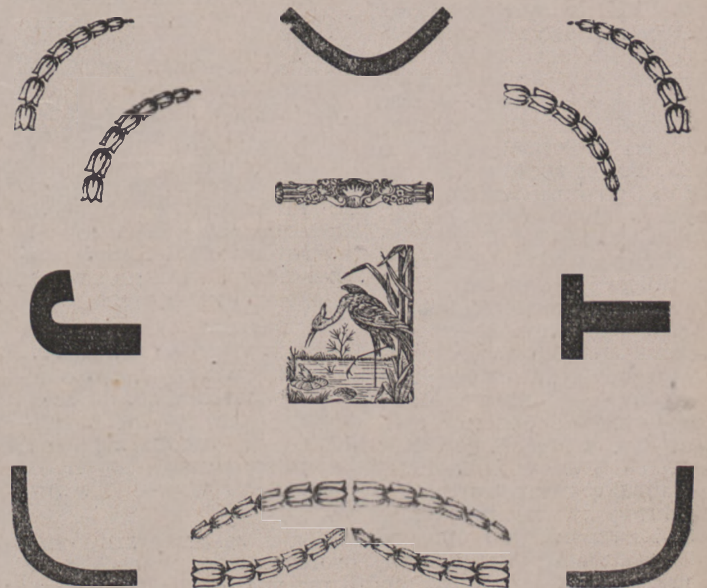
kocha ahi oha klukli pst hosanna...

krew krewi krowa krowistanu grobie

ali mi żali okropnie po tobie

Nóż, tuż, w biust, szust osi na powrozie ona

powiesi osi na wężu męża Laokoona...



KRONIKA KULTURALNA

50 AUTORÓW POLSKICH

Pierwsze dzieło encyklopedyczne, w którym — jak zaznacza w przedmowie wydawca, Horatio Smith —zamierzono pomieścić wykaz głównych dzieł czołowych beletrystyków kontynentalnej Europy XX stulecia i tych, którzy je bezpośrednio poprzedzają, to: „A dictionary of modern European literature" (1947, London, Geoffrey Cumberledge, Oxford University Press).

Rzut oka na odnośną literaturę wraz z sylwetkami pisarzy daje szereg specjalistów. Dzieło obejmuje utwory 31 literatur poszczególnych narodów. 239 krytyków składa tu relacje z dzieł ok. 200 autorów francuskich, 150 niemieckich, 100 włoskich, 50 polskich, 40 czeskich itd.

Większość sylwetek autorów polskich dał prof. Artur Coleman z Columbia Univ., opierając się w dużej mierze na (jak podane w uwagach) opracowaniach polskich sprzed 39 r., jak Czachowskiego i innych.

Oprócz sylwetek autorów mamy zestawienie ich cenniejszych dzieł. Wśród nazwisk znajdujemy wielkich pisarzy końca XIX i pierwszej połowy XX w., od Asnyka po Żeromskiego alfabetycznie przez Dygasińskiego, Kasprowicza, Nowaczyńskiego, Orkana, Orzeszkową, Reymonta, Rodziewiczównę, Rostworowskiego K.H., Sienkiewicza, Tetmajera, Wyspiańskiego i innych. Z żyjących wymienia autor głównie tych, którzy przebywają w St. Zjednoczonych.

(S. Leg.)

POLSKIE PAMIĄTKI W ZBIORACH ANGIELSKICH

Szereg bibliotek i muzeów brytyjskich posiada rzeczy polskie, przeważnie rękopisy, listy, książki i mapy. Są one w Londynie, w starych ośrodkach uniwersyteckich Cambridge i Oxford oraz w Edynburgu, Manchesterze i Glasgowie.

Najbogatszy był do wojny zbiór British Museum, który szczycił się m.in. następującymi zabytkami: 85-ciu rękopisami, materiałami do czasów króla Zygmunta I, angielskimi opisami Polski historycznej, mapami naszego kraju, szeregiem druków z 20-lecia niepodległości.

Część tych zbiorów uległa zniszczeniu w czasie bombardowań niemieckich.Zbiory polskie posiada również londyńskie, Victoria & Albert Museum(m.in. dywan polski z XVIII wieku).

Żywe były stosunki polsko-angielskie za czasów Henryka VIII, z tych też czasów datuje się jego korespondencja z królem Zygmuntem Starym. Do Anglii również trafiły szczęśliwym losu przypadkiem cztery modlitewniki królewskie Jagiellonów. Tu też znajdują się pamiątki po Janie Łaskim, jednym z ojców Kościoła anglikańskiego.

Liczne sztychy Jana Sobieskiego i Tadeusza Kościuszki, niezmiernie popularnych w Anglii w swoich czasach, pamiątki po Chopinie (rękopisy utworów, listy Chopina do Fontany, albumy, fotografie), mapy, medale itp. zebrał Polish Research Centre w Londynie.

Niejedną rzecz wartościową kryją zbiory prywatne, jak korespondencję między arcybiskupami katolickimi Polski i Anglii oraz rodów polskich z przedstawicielami rodów katolickich na Wyspie.

Nie wszystkie rzeczy polskie są znane. Prace uczonych polskich na temat poloników w Anglii (n. p. St. Michalskiego) nie wyczerpały tematu. Ilość pamiątek polskich w czasie ostatniej wojny wzrosła, że wymienić tu choćby pomnik lotników polskich.

S. Leg.

POLONICA W SZKOCJI

W okresie festiwalu edynburskiego bawił w Szkocji książę Poniatowski, potomek w prostej linii brata ostatniego króla polskiego. Należy on do tej jedynej już gałęzi rodu Poniatowskich, która osiadła na stałe we Francji i uważa się obecnie za rodzinę francuską. Książę Poniatowski przebywał w jednej ze starych siedzib szkockich w Peeblesshire, gdzie jednocześnie gościła królowa belgijska Elżbieta.

Jak wiadomo, babka króla Stanisława Augusta pochodziła ze znanej rodziny szkockiej Gordon.

— — —

W dokumentach Uniwersytetu edynburskiego znajduje się akt ufundowania dwuch stypendiów w roku 1713 przez Roberta Browna, obywatela Zamościa, dla dwóch studentów wyznania protestanckiego, z których jeden miał być Polak, a drugi Szkot.

OŁTARZE POLOWE

Na szereg zapytań, — w związku z artykułem o pamiątkach religijnych, zamieszczonym w 2 nrze „Gazety Literackiej" — czy w Ośrodku Muzealnym Instytutu im. Gen. W. Sikorskiego w Banknock znajdują się również ołtarze polowe z okresu ostatniej wojny, wyjaśniamy na podstawie informacji, zaczerpniętych u źródła, że w Muzeum zdeponowane zostały obrazy z ołtarzy polowych, aparaty kościelne, monstrancje, kielichy oraz szereg drobnych przedmiotów, jak figurki świętych i inne ozdoby ołtarzy.

Przedmiotami tymi są bądź depozyty, złożone przez oddziały wojskowe, związane z historią danego oddziału i mające nadal służyć do odprawiania nabożeństw w odtworzonych jednostkach bądź też stanowiące obecnie własność Muzeum.

Te ostatnie są raczej tylko pamiątkami, nie nadający się dla celów użytkowych. Same ołtarze polowe, jako budowane doraźnie — nie przedstawiające wartości — zostały po opuszczeniu miejsc postoju przez oddziały rozebrane.

W. K.

„BROŃ I BARWA"

Stowarzyszenie Przyjaciół Muzeum Wojska wydawało przed wojną w Warszawie miesięcznik pod nazwą ‚Broń i Barwa‘, poświęcony badaniom bronioznawczym i muduroznawczym.

Grono b. współpracowników tego wydawnictwa, znalazłszy się na emigracji, powołało do życia na terenie Wielkiej Brytanii Stowarzyszenie o tejże samej nazwie i celach.

Przekształcone następnie w Sekcję Muzealną Polskiego Towarzystwa Historycznego w Londynie, Stowarzyszenie wznowiło wydawanie czasopisma, poświęconego tym samym zagadnieniom.

Różni się ono wprawdzie szatą zewnętrzną, lecz pod względem treści stoi na bardzo wysokim poziomie.

Wartość bibliograficzną czasopisma ‚Broń i Barwa‘ podnoszą ręcznie kolorowane ryciny oraz mały nakład w ilości 100 egzemplarzy, odbijanych w Muzeum i Bibliotece Instytutu Historycznego im. Gen. W. Sikorskiego w Banknock, w Szkocji.

Adres wydawnictwa jest następujący: Sekcja Muzealna Polskiego Towarzystwa Historycznego, 20, Princess Gate, London, S. W. 7.

Z CZASÓW KATARZYNY

Coraz częściej spotykamy w filmach angielskich tematy polskie. I tak w filmie brytyjskiej produkcji pt.: „Shadow of the Eagle" („Cień orła") osnutym na wątku historycznym z okresu panowania Katarzyny Wielkiej, występuje m. in. książę Radziwiłł (gra go aktor Walter Rilla). W filmie są sceny walk z udziałem wojsk polskich.

L.

POWIEŚĆ J. GIERTYCHA

Druk powieści J. Giertycha „W Polsce między wojnami" dobiega końca. Do dnia 10 października zebranych zostało 1412 przedpłat z całego świata.

Przedpłata po cenie ulgowej 15 szylingów zostaje nieodwołalnie zamknięta z dniem 1 listopada. (Zamówienia nadsyłać można wprost pod adresem autora, 16, Belmont Road, London, N. 15). Po tej dacie obowiązywać będzie cena 30 szylingów za całość książki (po 10 szylingów za tom).

„EUROPA NIE ODPOWIADA"

Z drukarni „Veritas" wyszła nowa książka. Jest to zbiór opowiadań o ghecie warszawskim pióra znanego autora Romana Orwida Bulicza. Pierwsze recenzje ujmują w nowej książce bardzo interesującą pozycję wydawniczą.

Książkę tę, pod tytułem „Europa nie odpowiada" omówimy w jednym z najbliższych numerów „Gazety Niedzielnej".

CIOSY UNIKI

ILEKROĆ słyszy się tętent szarży przeciwko „burżuazji", co w języku polskim niewłaściwie przełożono na „drobnomieszczaństwo", można być pewnym, że okrzyki wznosi okrągły okaz burżuja czy drobnomieszczucha. Przede wszystkim jest jasne, że w dzisiejszych cywilizacjach pisarze, to typowi mieszczanie, zarówno w pojęciu zawodowym, jak społecznym czy kulturalnym. Piśmiennictwo współczesne jest niemal wyłącznie literaturą mieszczan. Dodatek „drobno" jest bez znaczenia, bowiem mieszczaństwo, burżujstwo jest oczywiście głębsze i typowsze w większym nasyceniu, w wielkich miastach. Drobnomieszczaństwo jest bliższe kulturze chłopskiej, niż wielkomieszczaństwo. Burżuj, to wielkomieszczanin.

Burżujstwo może być zaletą lub wadą, wdziękiem lub nieznośną manierą, postawą lub tłumioną naturą. Zależy to ostatecznie od jednostki, od duszy ludzkiej, od charakteru. Równie dobrze ziemianin może być uroczy lub nieznośny, podobnie chłop, podobnie robotnik. Granice ludzkości biegną przez pojedyncze dusze (takie zresztą tylko istnieją), a nie przez stany, społeczeństwa i kultury.

Dobry burżuj kocha swoje mieszczaństwo i kocha mieszczaństwo bliźnich. Zły burżuj uwielbia swoje mieszczaństwo, a nienawidzi mieszczaństwa drugich.

Współczesna literatura jest z krwi i kości mieszczańska. Najbardziej mieszczańskie są przytem dzieła skierowane przeciw mieszczaństwu. To bardzo zabawne, jak mieszczaństwo wychodzi z człowieka w pasji i w pozie.

Cóż to za przepyszny okaz drobnomieszczaństwa taka Kuncewiczowa albo Iwaszkiewicz, nie mówiąc o potężnej ilościowo trzodzie mniejszych i większych owieczek mieszczańskich w kraju i zagranicą! Książka Marii Kuncewiczowej, która niedawno ukazała się tłumaczeniu angielskim p.t. „Zmowa nieobecnych" i książka Jarosława Iwaszkiewicza, wydana w Kraju w r. 1947 p.t. „Nowele włoskie", to kliniczne fenomeny drobnomieszczaństwa.

Można boki zrywać, jak ci burżuje gardzą burżujstwem, jak kapitalistyczne fatałaszki kultury obracają w fetysze, jak się z namaszczeniem poruszają w rupieciarniach ideałów, jak im imponują meble, porcelany, maniery, gesty, ubiory, obce wyrazy. Iwaszkiewicz w noweli p. t. „Kongres we Florencji" podkpiwa z urzędasa, który wtrącał do swego języka zwroty francuskie, ale kiedy bohater-alter ego autora biega po Florencji, co rusz powie jakieś zdanie, nie omieszka doń dodać słówka włoskiego z podręcznika dla początkujących. Przy tym poza arbitra, eleganta, pięknoducha, mędrca z wieży z kości słoniowej. Jakieś myśli, zadumy nic nie znaczące, ale za to tajemnicze, szyfry nieśmiertelności i geniuszu.

A treść czy idea? Przygody geniusza z portretem własnym autora. Czyli jak sobie burżuj wyobraża, że uciekał od burżujstwa.

* * *

DAWNO nie czytałem tak złej książki, jak „Pogranicze powieści" Kazimierza Wyki. Jest to praca historyczno-krytyczna na temat prozy krajowej w latach 1945 — 1948. Książka jest dokumentem, stwierdzającym katastrofę polskiej krytyki literackiej pod satelickim reżymem. Wyka bowiem uchodzi w Kraju za czołowego krytyka literackiego.

Wyka zapowiadał się kiedyś świetnie jako student oczytany, z horyzontami i rozważny. To co dziś pisze jest płaskie, zarozumiałe i sprzeczne z dobrym smakiem. Krytyk literacki musi być sam literatem. Nie wystarczy, żeby był kancelistą lub reporterem. A Wyka niestety jest tylko reporterem literackim.

Agnostycyzm jest o wiele bardziej denerwujący od świątkarstwa czyli pustej dewocji. Taki Wyka plecie n.p. na temat Żukrowskiego jak papuga, nie rozumiejąc ani be ani me: „Jest to religijność całkowicie fideistyczna, zamknięta w systemie katolickich znaków religijnych, gestów wewnętrznych, ich bezpośredniego wpływu na bezpośrednie sutuacje życiowe, wpływu, w jakim zupełnie jest nieobecna skomplikowana więź metafizyczna czy etyczna..." Cóż to wszystko znaczy? Pomijając wdzięk stylu, chodzi przypuszczalnie o to, by wiara nie była prosta, ale skomplikowana, przyczem ta komplikacja to mieszanina wiary z niewiarą.

Oczywiście nie wie pan Wyka, że wiara musi być prosta, bo leży to w pojęciu wiary. Kto zaś z wiary dostrzega tylko jej znaki zewnętrzne, ten jest jak krytyk, który mówi o książkach na podstawie ich okładki. Niestety różnym krytykom i pisarzom zdaje się, że wiara, to coś jak literacki kierunek.

Stąd Wyka.

J. B.